

WIAS

tygodnik społeczno-literacki

Rok IX

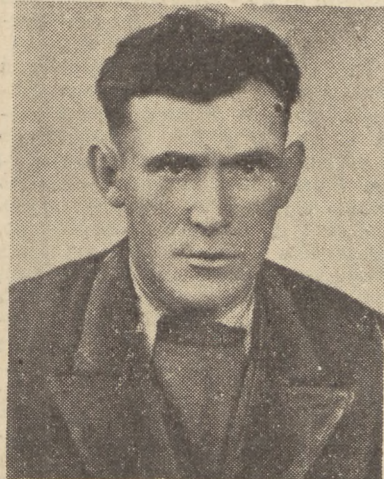
Warszawa, dn. 29 VI. 1952 r.

Nr. 26 (360)

PISZĄ KOBIETY ZE SPÓŁDZIELNI PRODUKCYJNYCH



Julian Maruda



Stanisław Wedman

MARIA JARKOWSKA

A leciały za mną kamienie...

BARDZO krępuję się mojego pisma, aby ktoś nie krytykował za błędy, ale jestem samoukiem. Czytałem nauczycielką i ciężko u ludzi pracowałam a to jeszcze za czasów carskich. Za mąż było mi trudno wyjść bez posagu, choć brzydka nie byłam i dopiero Rewolucja Październikowa na poglądy trochę wpłynęła, wziął mnie więc Jarkowski za żonę, bo się przypatrzył w tych czasach co człowiek a co bogate bydło. Mieliliśmy potem syna jedynaka i żyliśmy pragnieniem, aby jego zdolności nie przepadły. Na koniec go wykształciłam i oddałam Polsce Ludowej, niech strzeże granic pokoju, bo mój syn jest teraz kapitanem w Wojsku Polskim a ja i mój stary zaczęliśmy budować we wsi fundament dla socjalizmu, to jest nasz cel. Pragnę pokoju i lepszego jutra — żeby nie było już wyzysku człowieka przez człowieka w naszym kraju. Żeby nie było takich, jak ja kiedyś, sierot i bezdomnych, żeby się nie uczyły czytać z szyldów ale w jasnych klasach szkoły i nie kraśniały ze wstydu, że choć może i ładne ale niepiśmienne — ślepa, niczego nie świadoma siba.

Wybaczyć, że od wspomnień zaczęłam i od tych szyldów, co były moją szkolną tablicą. W naszym dawnym życiu chłopiejskiej biedoty gdzie było miejsce na pisanie? Gospodarstwo w rachunek domowy zapisać, jak sklepikarz w dzienniczek od borgowania nasze długi? Listy do krewnych? Jak poszli w świat to na nędzę niemiecką niż w domu. Ciemni i w nędzy nie pisują. Co innego teraz, po wojnie. Po całym kraju ruszają się chłopi jak po wielkim, wspaniałym mrowisku. Na wesela, chrzciny i święta jadą z jednego końca Polski w drugi. A listy wciąż kursują. A ja to nie byłam w Warszawie? I społecznie i prywatnie. Bo mój syn — lotnik mieszka w Warszawie, ożenił się, ma śliczną córeczkę a ja zostałam babką.

Co do rachunku to teraz ma co zapisać nawet chłop na swojej gospodarce z powodu, że rolnictwo jest planowe i jemu się lepiej wiedzie. Ale nie ma porównania między indywidualnymi a nami, spółdzielcami. Każdego z nas to aż ciągnie aby w liście do krewnych napisać za pomocą rachunku. Bo w naszych rachunkach jest na co popatrzeć.

Ostatek swego życia oddałam Polsce Ludowej. Jak umiem tak pracuję. Przemagam reumatyzm, słabość serca i kalectwo prawej ręki, bo mam pokrzywione palce. Jak umiem tak walczę z urogiem spółdzielni; jak rozumiem tak wskazuję i radzę innym. I dziś już jawnie widać jakie wyniki dała nasza praca. Weszliśmy roku ci sami ludzie mówili mi w oczy — chciałaś kołchozu to pracuj, my nie głupi. I ja pracowałam i spokojnie objaśniałam. Ale bałam się, że sama się zalamie. Kiedy leciały za mną kamienie, powstawał we mnie wtedy bunt ale mówiłam drugim — niech się opamiętają, bo jeśli mnie zabiją to dużo ludzi pójdzie na marne do więzienia. Pod koniec roku lu-

WITASZÓW GÓRNY, pow. Świdnica
dzie zaczęli się sami garnać do mnie i wtedy już mogłam otoczona tymi, co przeszli i znają krzywdę mówić w oczy innym o ich podłościach wrogiej roboty.

Moje uświadamianie i przekonywanie doczekało się plonu. Przychodzimy do ciebie matko — mówią dziś ludzie — po radę i pomoc. W czasie wyborów nowego zarządu dawny przewodniczący chciał być ponownie obrany. Gadał, że jak on będzie, to spółdzielnia jakoś jeszcze przetrwa a bez niego rozwali się.

A przez cóż to spółdzielnia poniosła duże straty? 10 ha mieszaniki zgnito na polu a słoma jęczmienna z 5 ha i dużo innego w czyżej to wpadło ręce? A kto go mógł kontrolować do czasu, kiedy z nim jednej myśli była kumoterska komisja rewizyjna? A kto to obrywał nam dźwięki? Nie przewodniczący? Ja z mężem wypracowaliśmy 233, a przy rozrachunku okazało się, że ja mam nie 77 a 63 dniówki, mąż nie 126 a 114. U innych członków też tak było. Nie zbiedniałam przez te obrywki. Jesteśmy z mężem całkowicie zabezpieczeni, żyjemy w dostatku. Dla innych możeby to było za mało ale dla nas zupełnie wystarcza. Ale to były złe stosunki: niszczenie pracy, kradzież i demoralizacja. I wybrałszy nowy zarząd. Przewodniczącym został Stanisław Bury, do zarządu wybrano Józefa Gałąkę i mnie. U nas jeden członek zarządu odpowiada za pracę połową, drugi za inwentarz. Stary przewodniczący powiedział wtedy, że jeśli Jarkowska jest w zarządzie to źle. Żle dla wrogów spółdzielni i szkodników. Bo co się okazało w nowym okresie? Atmosfera daleko zdrowsza. Członkowie rozumieli wagę wspólnej pracy, mają zaufanie do nowego zarządu, w tym roku pracują dobrze nawet ci, co weszliśmy nie chodzili w pole. Pewnie, że uświadamienie nie doszło jeszcze do wszystkich jednakowo. Odrabiać musimy ubiegły rok, w którym więcej pracował wrog Dźiś on już nie szkodzi nam z zarządu ale czujność tym bardziej musimy wzmóc, bo wrog jak jastrząb co góruje w obłokach niewidoczny dla oka, ale jak doirzy ofiarę to spadnie i zamaci spoki naszej pracy. Taki prawie niewidzialny wrog najtrudniejszy, bo nie wiesz gdzie go szukać a mamy przecieć znak po nim, taką ofiarę. Zrzucał swoją przynętoową gospodarkę, krowę oddał do sąsiada, do domu puścił lokatora, żonę i dzieci wysłał do rodziny, skąd tu przybyli i sam wreszcie pojechał a przecieć był w tamtym roku dobrym pracownikiem. Wrog go nam wyrwał i zamarnował. Bo człowiek ten zamiast dążyć do dobrobytu upada i grzęźnie w rozkładzie. Na taką sytuację czuje się za słaba. Potrzeba nam pomocy i nauki Partii, obwiśnu się całą spółdzielnią i całym zespołem idąc narząd nie stracił po drodze ani jednego członka. Bo taki bardziej ofiarą jest wroga niż sam urogiem.

Maria Jarkowska



Maria Lamot w otoczeniu swoich dzieci

MARIA LAMOT

Inaczej kochamy dzieci

DĘBNICA, pow. Człuchów

BARDZO mnie zaciekało to, co we „Wsi” przed kilku tygodniami pisała Zofia Kulińska o swoim życiu i spółdzielni w Mastowicach. Moje dzieciństwo też, tak jak Kulińskiej, nie było słodkie. Rodzice nie posiadali ziemi, nie mieliśmy nawet swojego domu. Dopiero kiedy ojciec wyjechał do Francji za poroutem kupił mały domek, ale robić trzeba było dalej u kulaków i to nie tak, jak teraz, kiedy się idzie za maszyną i stawia snopki ale trzeba było zacząć sierpem, kopać motyką i młócić cepami. Matka do młyna nie wiozła żyta na chleb, kręciliśmy się w żarach. Kiedy wyszłam za mąż nie zmieniło się na lepsze, jeszcze na gorsze. Bo nie mieliśmy gdzie mieszkać a dzieci przybywało.

To też kiedy otworzyła się droga na Ziemię Odzyskaną pojedaliśmy zaraz i już 6 maja 1945 staliśmy się dziećmi w Człuchowie. Tutaj dopiero zaczęło się lepsze życie. Dzięki naszemu Rządowi Ludowemu i naszej Partii dostaliśmy konia, krowę i zboże na zasiew. I tutaj dopiero, choć trzeba się było robić, aby stanąć na nogi — poczuliśmy wreszcie, że nie tylko mamy to, co dawniej mieli średniozamożni gospodarze ale pełność i przyszłość, jakiej oni nie mieli, bo żyli w ustroju, w którym przynieraty z głodu miliony chłopów i robotników. Więc albo groziło chłopu, że stoczy się w nędzę albo że „dorobi się” z potu, krwi i łez tych, których zepchnięto w otchłań nędzy.

Myśmy zrozumeli, że nad nami jest opieka władzy robotniczo-chłopskiej, która wszystkich pracujących chłopów prowadzi do dobrobytu. To też, kiedy w 1950 r. zaczęło się w naszej wsi mówić o spółdzielni produkcyjnej, zapisaliśmy się z mężem. Było kilku bogaczy, którzy różnymi płotkami straszili, aby nie dopuścić do założenia. Mimo tych trudności w grudniu 1950 r. spółdzielnia powstała, weszło 30 członków, w tym 5 kobiet.

Wiosną wpływ kobiet-członkiń okazał się duży. Wszystkie żony i matki spółdzielców wyszły w pole do pracy, podobnie dzieci szkolne, tak że każdą akcję mieliśmy wykonać przed terminem. Na jesieni uznana została nasza spółdzielnia za produkującą w powiecie. Dniówka obrachunkowa wyniosła po spłaceniu krótkoterminowych pożyczek, 19 zł 30 gr oprócz zbiorów ozimych, które członkowie zbierali jeszcze indywidualnie. W ubiegłym roku jeszcześmy prawie nie mieli hodowli, bo inwestycje przynależały nam, otrzymaliśmy dopiero jesienią. Kupiliśmy wtedy 14 krow, buhaja, 3 jałowki, knura i 20 sztuk prosiaków. Z braku chlewni narazie tyle, ale mamy w planie wybudować i rozwinąć hodowlę na większą skalę, gdyż chów krow i trzody chlewniej stawiamy na pierwszym miejscu. Mamy też pasiekę i założyliśmy hodowlę drobiu, na początek 400 sztuk kurcząt (z wyjątkami). Tu muszę pochwalić moją żonę. Kurzy — babka to sprawa, ale że nam przysłało to maleństwa w marcu, kiedy były jeszcze silne mrozy, żadna z kobiet nie chciała karmić piskląt, każda machała ręką, że zaprzędzie, wyzdycha. A mój mąż swoim sposobem wybudował sztuczną krowkę i kurczaki ładnie wyrosły i dobrze się chowają. Na czyn więc 1-majowy chłopci nasi wybudowali kurnik obszerne sposobem gospodarczym i tak to powstała ferma kurza za sprawą chłopów. Przy okazji wymienię kilku członków, którzy zastępują na wyróżnienie. A miłanowicie, pierwszy jako dobry nasz gospodarz — przewodniczący Win-

centy Zukowski, dalej — Henryk Skoneczny, Aleksander Równy, Henryk Lamot, Stanisław Idzik i Józef Prus, oborowy. Czyli, że same chłopy. Bo takich bojowych kobiet, jak Zofia Kulińska — musimy przyznać — u nas jeszcze nie ma. Owszem, do roboty wychodzą ale z poświęceniem i ofiarnością nie w tak porównywalnym stopniu, jak to przedstawia Zofia Kulińska w swojej spółdzielni w Mastowicach. Jeszcze nie mają nasze kobiety takiego rozmachu. Wrog robi swoją robotę, sieje plótki razem z pięknymi ludobójcami zagranicznymi i myśli, że postrząsy naród, że struchleją kobiety? Może strasznie mało dzieci, bo my spółdzielcy na ich straszenie bombą i zarzą odpowiadamy jeszcze większą wydajnością pracy. A ja jako przewodnicząca, która gospodarnie będzie starała podciągnąć nasze kobiety, aby bojowo stawiały do pracy, tak jak Zofia Kulińska. Co do mnie to mam jedno zmartwienie, że mimo najlepszych chęci nie będę mogła wypracować dużo dniówek, bo jestem obciążona dziećmi i małutkami. Jedna tylko, najstarsza weszła teraz za mąż, mając 17 lat. Ale za to mnie czeka na wreszcie nowy poród. Mam dopiero 38 lat i dużym mogła zrobić ale z tego powodu... kobiety chyba mnie rozumieją, bo dobrze u nas widać co jest trudnością a co złą wolą.

Przedszkole to w naszej wsi mamy już od 1947 r. Mamy także świetlicę, bibliotekę, radio i adapter w świetlicy, drugie radio w zarządzie spółdzielni a u wszystkich członków głośniki. Trzecie radio jest w szkole. Na nie składali się wszyscy rodzice. Bo dzieci my spółdzielcy kochamy inaczej niż dawniejszy chłop na swoim. Ten dawny chłop też je kochał, dla nich przecieć chciał gospodarować co czegoś doprowadzić aby miały po nim na czym i z czego żyć. Ale on tępo i surowo to szykował Dzieciom oddał dzieciństwo, głodem i pracą ponad siły z góry plachy dzieci za nadział. Zawracal je ze szkoły, bił za książkę, gwał na deszcz i mróz. Bo jego samego gwał strach upadku gospodarstwa i nędzy. Popędzało go ciemnota i chytryść, jakiej uczył na każdym szczeblu kapitalizmu. My teraz inaczej żyjemy. Pierwsza w naszym życiu sprawa to dzieci. Ona będą tą drugą, jeszcze lepszą siłą naszej ojczyzny i socjalizmu. Niech się więc jak najlepiej rozwijają.

Dlatego wspomnę tu, że brak w świetlicy dobrego Hierownika, który by zajął się naszą młodzieżą a warta tego, bo sama się ćwiczy i w rękach przedstawienia. Żeby kierownik szkoły okazał więcej dobrych chęci to nasza świetlica stałaby jeszcze lepiej.

Mieliśmy w ubiegłym roku złódek sezonowy od sierpnia do grudnia. W tym roku miał być wcześniej, tymczasem roboty przeszły bez złóbka, bo kierowniczkę jeszcze pono na kursie a dużo u nas kobiet, które mają małe dzieci i nie mogą bez złóbka wyjść do pracy.

Jednego najbardziej zadroszczonego Zofii Kulińskiej — wycieczki do Zwiniarzu Radzieckiego. Jakże bym chciała tam pojechać, bo wiem jak taka wycieczka dać może dużo nauki i doświadczenia. W tym pragnieniu odznacza się „ówmięć” we mnie matka, która ma 10 dzieci, a jedynaste nosi w łonie. Matka, która chciałaby już wtedy, kiedy ma jeszcze małe, zobaczyć na własne oczy ich wspaniałą przyszłość, jaką naszym dzieciom przynosi socjalizm.

Maria Lamot

ZOFIA KULIŃSKA

MASZYNA TO JEDNO, A SERCE TO DRUGIE!

MASŁOWICE, pow. Sławno

JAK ten czas leci... Pisałam do Was ostatni raz na 1 Maja¹⁾, aby donieść, że siewy w naszej spółdzielni dobiegają końca. Ukończyliśmy je w trzech dniach, to zna-

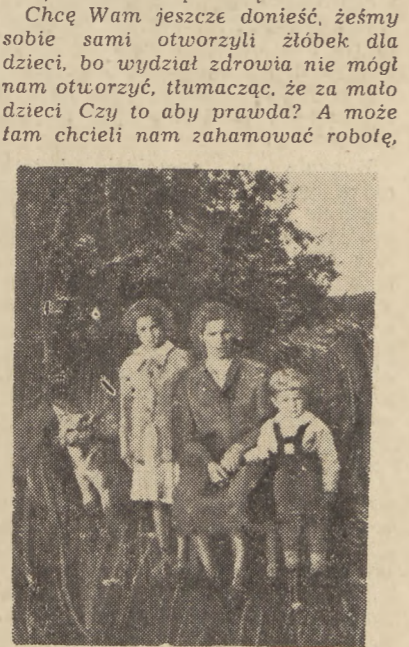
ci — na pięć dni przed terminem. Pierwsi w gminie, przeto wygraliśmy u współzawodnictwie. Potem posłaliśmy buraki cukrowe i len, potem sadziłmy kartofle. Przygotowaliśmy do sianokosów kosiarki i roztrząsarki i sianokosy też ukończyliśmy przed terminem. Tak nam teraz idzie praca aż miło popatrzeć — pola dobrze uprawione i ludzie pracują. A w pierwszych dwu latach bywało — śmiały się na wsi, że zaroiemy perzem. Ale co miały zrobić jednostki, a nawet gromada nas, kiedy przewodniczący (z kumotrami z komisji rewizyjnej) nie dbał o rozwój i był nawet zadowolony jakęśmy się na polu kłócili czy tak, czy inaczej robić. Śmiał się wtedy i mówił, że to „mechaniczna uprawa” z nerwów nas wyprowadza, a bez niej byłby święty spokój. Potem się pokazało, że ten perz (i wiele innych poważniejszych stral, o czym pisałam już obszernie²⁾, to wina przewodniczącego („grzech w niedziele pracować” — mawiał ten organista chyba przed wojną) i wina nas wszystkich, że nie umieliśmy wcześniej przegonić wroga z naszej spółdzielni i jego kumotrów.



Zofia Kulińska

A wiecie jak należy dopilnować? Nasz nowy (od jesieni) przewodniczący, a starszy to chłop (choć przy koniach wyciągnął w ubiegłym roku 320 dniówek), co dnia chadzał w pole na orkę do traktorzystów i furmanów, a miarceczkę trzymał w ręku i co parę kroków chytał się i mierzył głębokość roli, a potem do traktorzystów: chłopcy, źle pod wierzbami, źle pod góreczką, zaoralście. Jak znajdę raz jeszcze takie miejsce zamelduję w POM-ie. Nam chłopcy, potrzeba ludzi robotnych, z których wzór będziemy brać. A Wam nie mówią w POM-ie — że maszyna jedno, a serce to drugie? Można to przniechać do spółdzielni bez serca? Ja Wam jeszcze teraz wybaczam, ale jakbym się dowiedział o jednym stajaniu za płytko zaorany na wsi, u gospodarzy, to jak mnie tu widziecie, zobaczycie mnie u was w POM-ie. Zapamiętajcie sobie, wy nie orzecie — wy wszędzie macie zdobywać ludzi dla socjalizmu, maszyną i sercem!

Chcę Wam jeszcze donieść, żeśmy sobie sami otworzyli złódek dla dzieci, bo wydział zdrowia nie mógł nam utworzyć, tłumacząc, że za mało dzieci. Czy to aby prawda? A może tam chcieli nam zahamować robotę,



Maria Wedman

żebyśmy nie wykonali planu? My uważamy, że złódek ucześniej potrzebny, a oni — drugi powód — dopiero w czerwcu. Nie to, nie czekaliśmy czerwca. Mamy starszą kobietę, która do ciężkiej pracy, już niedolna, więc my, matki zamianowałyśmy ją kierowniczką i pilnuje nam dzieci. Pożyczenie każda z nas uzyskuje na cały dzień i tak to złódek czynny już jest od 1 maja. Kobięcie tej piszemy taką samą dniówkę jaką na polu jedna kobieta wypracuje. Zdaje mi się więc, że nie ma krzywdy ta kobieta. Bo my nie patrzymy tylko na dni. My wyrabiamy normy w wysokości 120 — 140 proc. Na przykład przy obrniku roztrząsają 10 wozów to znaczy osiągnąć za dzień 1.20 dniówki obrachunkowej. A my roztrząsamy 14 wozów — to jest 1.68 dniówki. Więc tej wyższej granicy trzymamy się przy zapisywaniu dniówek kobietom, która prowadzi złódek. Napiszcie nam, czy sprawiedliwie postępujemy? Bo chcemy się uczyć dobrego, aby nie wracać do błędów, ale je naprawić. Trzeba przecieć w spółdzielni szanować nie tylko samą pracę gospodarczą. Jakżeśmy wniosły na zarząd sprawę złóbka, a z nią też kobiety i płacy za jej pracę — chłopcy się śmiały, że nie długo kobiety uwolnią się u nas od wszystkich babskich robót i jeszcze po rekach każą się całować przy płaceniu za tę wolność. Chyba do tego dojdziemy — ale chłopci wiedzą, że razem — oni i my — na to zapracujemy.

Zofia Kulińska

JAN BOLESŁAW OZÓG

WIECZÓR WE WSI PRODUKCYJNEJ

Świeci nowy gwiazdozbiór łąkom i ciemnym lasom —
plon elektryfikacji. Piosnka o Nowej Hucie
od głośnika podbiega. Traktory trzmielim basom
podobne — już w garażach. To wszystko, wszystko.

W skrócie.

Kraj snów, który dzierżawi poeta czy profesor.

Tak gdy sztandary ploną, a w płotach — bez i szalej,
agronomów do POM-u mgła unosi jak resor,
„pekaesiak” nadjeżdża i ten wiecie ich dalej.

W świetle lip i żarówek idą tłumy do kina.

Traktorzysta na wargę kładzi z gracją „Górnika”
i wpatruje się w okno, a tam jego dziewczyna
przed lusterkim we włos, wtyka różdżkę sturczyka.

Zakochaj się, zakochaj, jeśli tylko potrafisz,

a teraz — pod te mury z niezdarnym u drzwi szyldem.

Skąd we frazach muzyki błyska lampka i afisz
z jabłonią Miczurina i małym Copperfieldem!

1) Patrz: Z. Kulińska — 1 Maja (Wiś nr 18).

2) „Moje i nasze życie” (Wiś nr 16/17).

ZOFIA RUDZKA

»ODNAJDZIEMY SIĘ JAKO NARÓD«

O TO, co dziś na Wschodzie i Zachodzie wszystkich jednako pochłania, co wytwarza ową szczególną, napiętą atmosferę, jaka we wszystkich częściach naszego kraju daje się odczuwać, co znajduje wyraz w prasie, zarówno po naszej jak i tamtej stronie, w oświadczeniach polityków... w rozmowach prostych ludzi. Wszyscy mówią o tym, wszyscy o tym myślą. Stoimy przed wyborem: co mamy uczynić? Na jaką drogę się zdecydować? Szybko, szybko musimy się zdecydować — pisze wybitny postępowy pisarz demokratycznych Niemiec Bodo Uhse — bo rozbite Niemcy zdają sobie sprawę, że w tym rozdarciu leży śmiertelne niebezpieczeństwo. I tylko w żarliwie jednoczących układach odnajdziemy się jako naród.

A przecież na rozmowach nie można poprzestać. Rozmowy muszą nas prowadzić dalej do czynu, gdyż jest to chwila, kiedy musimy decydować, zanim nie będzie za późno... Stoimy przed wyborem, przed wyborem między śmiercią a życiem, między samouniżeniem się, a utrzymaniem przy życiu, między wojną bratobójczą, a pokojem między narodami.

Siedem lat dopiero minęło od zakończenia wojny, która groziła swym nocny pełny bomb, potwornym zniszczeniem i milionami poległych pomściła na naszym narodzie cyniczną żądzę panowania Hitlera, a już Adenauer Bogu dziękuję, że mocą układów waszyngtońskich Niemcy z powrotem zostały wybrane na pole bitwy, że nasze miasta w proch mają się rozsywać, że o toczą się groby masowe młodzieży i wszelkiej nadziei jaka pozostała jeszcze przy niemieckim człowieku.

Z cieni szubienic, na których zginąć powinni, aby raz wreszcie świat i naród niemiecki uwolnił się od nich, wypelzają generatory Hitlera na światło amerykańskiego słońca dolarowego. I z tym samym zapalem, z jakim pod swoją komendą prowadzili Niemców w nrok, w mękę, na śmierć, znowu są gotowi teraz, na rozkaz amerykańskich generałów, popędzić Niemców na wschód, tzn. na pole bitwy przeciw własnym braciom.

Czy po tym wszystkim, cośmy przeczyli i przeżyli w minionych latach, może istnieć jeden choćby człowiek, który nie wiedziałby, co to oznacza? Czy może istnieć jedna niemiecka matka, która by nie wiedziała, że mundur, który układa jej syn, będzie jego śmiertelną koszulą? Czy znajdzie się Niemiec, który nie jest mocno przekonany o tym, że nowa wojna tocząca się na niemieckiej ziemi musi



przynieść koniec, koniec biologiczny niemieckiego narodu?

Nie, my wszyscy, po tej i po tamtej stronie, na wschodzie i na zachodzie wiemy, że udział w grze waszyngtońskich mężów, generałów i bankierów wciąga w nią samo istnienie niemieckiego narodu. Nie chcemy wojny. Tu i tam, na wschodzie i na zachodzie, w Niemieckiej Republice Demokratycznej i na Związkowym Terytorium Bonn — naród nie chce wojny. Ale ta dobra, uczciwa i szczerza nasza wola musi znaleźć swój wyraz. Musimy przybrać twórczą postać i taką formę polityczną, dzięki której przebieje się i zwycięży.

„Neues Deutschland”, centralny dziennik Niemieckiej Republiki Demokratycznej objaśnia:

„Układ ogólny pogłębił rozbiście Niemiec i utraci Niemcy Zachodnie w jarzmo amerykańskiego imperializmu. Oznacza to rezygnację Niemiec z suwerennych praw narodu, uwieczniałoby to okupację amerykańską i uczyniło z Niemiec bazę militarną dla amerykańskich oddziałów interwencyjnych. W myśl układu ogólnego Niemcy Zachodnie mają wreszcie wystawić armię i ściśle związać się z amerykańską polityką przygotowania wojny przeciwko Niemieckiej Republice Demokratycznej, krajom demokracji ludowej i Związkowi Radzieckiemu. Układ ogólny to droga do stworzenia w Niemczech Zachodnich dyktatury wojskowej”.

Doskonale zdają sobie z tego sprawę w zachodnich strefach Niemiec. Dlatego właśnie nieprzerwanie toczy się tam walka o traktat pokojowy... „aby w jak najkrótszym czasie przeprowadzić ogólnie niemieckie wybory. Tutaj przede

wszystkim sami Niemcy muszą chwycić inicjatywę w swoje ręce” — domagała się zachodnio-niemiecka gazeta „Badische Echo” kilka tygodni temu.

Warto zacytować list katolika z Zachodnich Niemiec, dr. Hansa Textora. Odnawiając on postawę przeciwną liberala niemieckiego, nie umiającego się jeszcze zdobyć na postępowy światopogląd, ale zdającego sobie sprawę ze strasznego niebezpieczeństwa List został skierowany do redakcji postępowego czasopisma „Die Weltbühne”, ukazującego się w Niemieckiej Republice Demokratycznej. Oto, co pisze przemysłowiec z Mindelheim: po powrocie z podróży do NRD:

„Socjalne osiągnięcia NRD, jej społeczne i gospodarcze cele wywarły na mnie olbrzymie wrażenie, ponieważ widziałem w nich realizację tych idei, jakie sam starałem się rozpowszechniać drogą społeczno-politycznych odczytów, nie znając jeszcze gospodarczej sytuacji na wschodzie. Imponuje mi fakt, że tam idea uczyła się w życie, nie tak jak u nas, gdzie znaczna część kleru nie myśli o tym, aby samemu realizować praktycznie naukę o miłości bliźniemu.

Przed kilku miesiącami byłem w Rzymie i widziałem nędzę, wołającą o pomoc do nieba pod murami Watykanu.

„Uznawać dalej całkowicie skromnawym system, jaki reprezentuje anglosaski kapitalizm, oznaczałoby dla nas, myślących, katolickich ekonomistów ciężki grzech. Bo czyż nie jest grzechem, kiedy w dalszym ciągu dopuszczamy, aby dzień w dzień ludzie popełniali samobójstwa z nę-

dzę, aby miliony żyjące poniżej minimum egzystencji załamywały się psychicznie, dochodząc do upadku moralnego? Tolerowanie dotychczasowego systemu gospodarczego oznaczałoby godzenie się z wojnami, wywołanymi nadprodukcją w przemyśle i bezplanowością kapitalistycznej gospodarki.

Piszę o tym do was, aby jasno powieścić że ja, świadomy chrześcijanin i katolik stoję w szeregach przyjaciół pokoju i z chrześcijańskiej tęsknoty za prawdą wszędzie, gdzie mogę szerzyć prawdę o Związku Radzieckim”.

„Od mocarstw zachodnich zależy, aby w interesie utrzymania pokoju światowego i zjednoczenia Niemiec wykorzystać każdą możliwość osiągnięcia porozumienia ze Związkiem Radzieckim”. (Rhein Necker-Zeitung).

„Naturalnie trzeba paktować. Pokój jest wielką wartością. Pokój, bezcenny pokój można utrzymać drogą porozumienia ze Związkiem Radzieckim i to jest jedna z podstawowych prawd naszej epoki... Nie ma argumentu przeciw wspólnym rozmowom, wszystko przemawia za nimi.” (Frankfurter Hefte).

Bo... „Nas nikt nie zmusi do przyjęcia układu ogólnego — wołały tłumy strajkujących niedawno w Hamburgu robotników — ta demonstracja to dopiero wstęp do nowych bojowych środków naszej walki przeciwko polityce Adenauera!”.

Z demonstracji w Kilonii, na kraj cały rozległ się głos Heinz Mayera: „To jest dopiero maly przedsmak układu ogólnego. Skończył by niewątpliwie chcieli na tym, że każdy strajk będzie uważany za zdradę kraju, jeżeli... nie chwycimy wspólnie za broń!”.

P.S. Kończąc pisanie szkicu, włączam odbiornik radiowy i słyszę głos speakera:

Z Bonn donoszą, że Bundesrat (Izba wyższa parlamentu bońskiego) pouził jednogłośnie uchwałę, w której — wbrew stanowisku Adenauera — stwierdza, iż ratyfikacja „układu ogólnego” i układu w sprawie „armii europejskiej” nie może nabrać mocy prawnej bez zgody Bundesratu i wyraża wątpliwość, czy układy są zgodne z konstytucją.

Uchwała spowodowała odroczenie terminu rozstrzygnięcia ratyfikacji na dłuższy czas. W kolach politycznych uważa się ją za dowód niezwykłego silnego nacisku opinii publicznej.

Zofia Rudzka

„CHATA WUJA TOMA”

(w setną rocznicę wydania)

PRAWDZIWIEM niezwykły to widok. Ludzie skaczą sobie do oczu, gotowi nieledwie zabijając się nawzajem. I rozchwytają książkę, zarówno wówczas, gdy widzą w niej niczym drugą Biblię, jak i wtedy, gdy jej autorkę najchętniej by wraz z jej dziełem powiedli na stos”.

Słowa te, zapisane równo sto lat temu przez jednego z nielicznych „obojętnych”, dotyczą książki, której los był istotnie niezwykły; obiegła cały świat, zapłodziła niejedną rewolucyjną i, wbrew przewidywaniom pisarki, we własnej jej ojczyźnie stała się znowu palącą aktualną; 20 marca 1852 r. ukazało się pierwsze wydanie „Chaty Wujka Toma” Harriet Beecher-Stowe.

Któż nie pamięta z dzieciństwa tej książki? Dziejów starożytności — mówiąc stylem epoki — za wszystkie skarby swego wielkiego, przepelnionego miłością dla ludzi serca, za życie — jedno pasmo wyrzeczonych i ciężkiej pracy, doczekał się śmierci z rąk białego, właściciela niewolników. „Chata Wujka Toma” była pierwszą lekturą wielu pokoleń, które poznawały z niej prawdę o życiu na amerykańskich plantacjach bawełny, prawdę o niewolnictwie — tym najpierwotniejszym z wielu systemów wyzysku człowieka — przez człowieka. Prawdę bijącą z każdej karty powieści, mimo jej braku — nauwy sentymentalizmu i jeszcze bardziej nauwną chęć przemówienia — jak pisze Harriet Stowe — „do słuchaczności serc i umysłów ludzi Poludnia”, czyli plantatorów.

Osiemnaście lat swej młodzieńczej przeżyła pisarka nad samą granią stanów niewolniczych, nad rzeką Ohio, przez którą płynęła fala zbiegów uchodzących z białego piekła, gdzie królują bawelna. Sama pomagała niejednemu i wieźniała wszystkich o ich losie. Milczała jednak pokąd nie nadszedł wstrząs ostateczny.

„Aż do tej chwili nie czułam się powołana do zabierania głosu. Myślę jednak, że nadszedł obecnie czas, kiedy nawet kobieta musi przemówić w obronie wolności i człowieczeństwa, gdy nad krajem naszym zawisła groźba hańby, gorszej niż niewola episkopa”. Na list pani Stowe wydawała antyniewolniczego tygodnika „National Era” zaproponował dość znanej już autorce zamieszczenie w czterech odcinkach obrazka z życia Murzynów, malującego groźbę niewolnictwa. Było to ukrótce po uchwaleniu przez Kongres, w którym rzadzili plantatorzy, Ustawy o Zbiegłych Niewolnikach. Po wszystkich stanach „wolnych” rozpoczęły się łowy na Murzynów uchodzących masowo z plantacji na Północ. Tam wzburzenie było wielkie. Kiedy w Bostonie aresztowano 17-letniego Thomasa Simsa, zbiegłego ze stanu Georgia, „rozprawa” odbywała się pod osłoną dwóch kompanii milicji. A gdy chłopca odprowadzano na parowiec, wiozący go na Północ — eskortowało go trzystu policjantów.

Wrzenie w szerokiech kołach opinii było bez kwestii szczerze. Ale poparcie jakiegoś mu udeziła burżuazja stanów północnych, miało swą niemniej wyraźną wymowę gospodarczą. Rozwijający się w szybkim tempie kapitalizm gromadził siły do ostatecznej rozprawy ze stojącym na jego drodze feudalizmem, który potęgę swoją opierał właśnie na niewolnictwie. Ale i burżuazja nie przewidziała, że iskra pada na beczkę prochu.

Cztery odcinki w „National Era” urosły do czterdziestu; domagała się tego gwałtownie publiczność, a „obrazek” pod piórem pani Stowe obryzwał w rozległe malowidło. Powieść była na ustach wszystkich. Zaczęło się szukanie wydawcy. Jednakże ci, do których się zwracano, orzekli, iż mimo rozgłosu utworu nigdy nie sprzedadzą nawet tysiąca egzemplarzy; ponadto każda firma bała się stracić klientelę z Poludnia. Wreszcie znalazła się rada. Odcinki wywarły wielkie wrażenie na pani Jewett, żonie małego wydawcy bostońskiego, zajmującego się drukiem broszur z gatunku „poradników praktycznych”. Pan Jewett zgodził się zająć nakładem pod warunkiem pokrycia połowy kosztów przez autorkę. Ustalono wysokość nakładu na 5.000 i wkrótce potem wyszły w świat pierwsze egzemplarze.

I tu rozpoczęły się dzieły. Pierwsze wydanie publiczność rozkupiła w ciągu dwóch dni. Do końca roku sprzedano trzysta tysięcy. Ukazały się wydania „dzikie”, komponowane piosenki, przerabiano powieść na scenę. Przedsiębiorcy robili majątki na „grach towarzyskich”, osnutych na fabule „Chaty Wujka Toma”. W Anglii w ciągu jednego roku poszło milion egzemplarzy, królowa Wiktoria roniła łzy nad losem małej Ewy. A co ważniejsze, ogólne i gorące potępienie niewolnictwa w opinii angielskiej wpłynęło dziewięć lat później na postawę Wielkiej Brytanii wobec wojny domowej w USA.

Zjawili się przekłady. W Rosji rewolucyjni demokraci wykorzystali powieść dla walki z pańszczyzną, a redagowany przez Czernyszewskiego „Sowietnik” rozesał ją czytelnikom jako dodatek. Polski przekład ukazał się już po uwłaszczeniu i zyskał sobie wielką popularność, lecz jako książka dla dzieci.

Oszalałymi powodem książki wywołało szybko kontrakt plantatorów. Posypały się artykuły w

prasie, listy z pogrózkami, niejaka Mary Estman napisała powieść „Chata Ciotki Filis”, malując życie niewolników w tak różowych barwach, że nowojorski recenzent poradził jej, by sprzedała swe dzieło handlarzom żywego towaru. Wynik tej całej akcji był dla jej twórców niewesoły: Beecher - Stowe odpowiedziała na ogłoszenie „Klucza do Chaty Wujka Toma” — zbioru miążdzących dokumentów. Ukazały rzeczywistość te samą co w książce, lecz odartą z lagodzących sentymentalnych półtonów, surową i groźną. Wuj Tom w powieści wybaczył swemu mordercy. Teraz się



okazało, że wybaczać nie wolno. Gdy przyszła wojna domowa, wojna o zniesienie niewolnictwa, Beecher - Stowe jedna z pierwszych domagała się całkowitego wyzwolenia Murzynów. Jej powieść, nazwana przez Lincoln „książką, która sprawiła wojnę”, przygotowała i urobiła opinie.

„Przyjdzie czas — pisała Harriet Stowe w przedmowie do książki — kiedy zło opisane tutaj należeć będzie do bezpamiętnej przeszłości, a szkice podobne do tych będą mieć wartość tylko jako wspomnienie o czymś o dawno przestalo już istnieć”. Nie przewidziała i nie mogła przewidzieć, że sto lat później szereg kreślonych przez nią obrazów nabierze nowej, straszliwej aktualności. Gdy w jej powieści jeden z plantatorów oświadcza: „Jesteśmy w wolnym kraju, mój panie; ten ten człowiek do mnie należy i mogę z nim zrobić co mi się podoba!” — słyszymy język jakim rozbrzmiewa Ameryka Trumanem.

Z tym tylko, że Trumanowska Ameryka poszła dalej: od niewolnictwa do ludobójstwa. I eksportuje ten potworny towar do Azji, Afryki — gdziekolwiek sięgnie jej ramię. Jesienią zeszłego roku szereg zreszeń murzyńskich w USA przedłożył Organizacji Narodów Zjednoczonych petycję, w której oficjalnie oskarżają rząd USA o ludobójstwo, przewidziane art. 11 Konwencji międzynarodowej z 11 grudnia 1948 r., a popielane na ludności murzyńskiej Stanów Zjednoczonych. Całość wstrząsającego aktu oskarżenia obejmuje 200 stron dokumentów, a każda oświeka krew. Nie sposób tego strześcić. Sigmund Jewett jednak do wstępu:

„Przedkładamy dowody nieodparcie świadczące o mordowaniu nas z pogwałceniem Konwencji przez policję i nasłane bandy, mordowaniu po nocy przez osobników w maskach, przez Ku Klux Klan, upoważniony do tego z urzędu przez szereg stanów, posługujących się tą organizacją jako półoficjalnym narzędziem władzy. Przedkładamy dowody śmierci tysięcy Murzynów zakatowanych na robotach przymusowych i w zakamarkach biur szeryfów, w celach więziennych i aresztach policyjnych, a nawet na ulicach miast, tysięcy Murzynów ujętych i zamordowanych przy zachowaniu pozorów legalności za usiłowanie oddania głosu, lub inną próbę urzędziwności swych najprostszyszych praw obywatelskich... Przedkładamy dowody ludobójstwa ekonomicznego lub, mówiąc słowami Konwencji, „świadomego narzucania tej grupie ludności warunków życiowych, prowadzących do jej wyniszczenia”. Przedkładamy dowody ludobójstwa, do którego podlega się jawnie i otwarcie przez radio, do którego nawołują senatorzy i gubernatorzy, potężne organizacje polityczne i wpływowe dzienniki...”

Nie ma już dzisiaj miasta, od New Yorku po Cleveland i Detroit, od Chicago po Waszyngton, Los Angeles i New Orleans, które nie byłoby szablone świadomym mordowaniem Murzynów... Pragniemy, by Zgromadzenie Ogólne ONZ wiedziało o zamordowaniu przez sądy Willie McGee, zamordowaniu przez sądy dwojga dzieci straconych na krześle elektrycznym 5 maja 1947 roku w Natchez, o zamordowaniu Siedmiu z Martinsville, o Sześciu z Trenton, o poruczniku Gilberte, o rzezi we Freeport, o masakrze w Monroe...

Protestujemy przeciw temu jako Murzyni, protestujemy jako Amerykanie, przede wszystkim za protestujemy jako ludzie, którym odnawia się praw ludzkich... My, którym spustoszone wioski, spalono i ograbiono domy, wymordowano dzieci, gwałcono kobiety, z grozą widzimy, jak rasiści amerykańscy eksportują swoje doktryny i działania do ludów kolorowych w Azji i Afryce i ostrzegamy uroczystie, że

(Dokończenie na str. 7-jej)

ANTONI STAŃ

Próba odrodzenia imperializmu niemieckiego

PRZEKSZTAŁCENIE Niemiec Zachodnich w bastion amerykańskiej agresji, skierowanej przeciwko Związkowi Radzieckiemu i krajom demokracji ludowej, odbywa się przy wydatnej pomocy sił niemieckich, które nie mają żadnych skrupułów, aby dopuścić się ponownej zdrady najżywniejszych interesów narodu niemieckiego. Są to te same siły, które dwadzieścia lat temu pod przewodnictwem Thyssena, umożliwiły Hitlerowi zagarnięcie dyktatorskiej władzy i nie wahaly się dla ziszczenia imperialistycznych planów rozpaść drugą wojnę światową. Są to zatem te najbardziej reakcyjne siły imperializmu niemieckiego, których zupełną likwidację przewidują postanowienia Układu Poczdamskiego. Lecz amerykański kapitał finansowy reaktuje i popiera właśnie tych niemieckich imperialistów, czyniąc z nich swoich głównych sojuszników w Europie Zachodniej. Niemiecy potencjalni finansowi i właściciele koncernów zamiast zasłużonych kar za popelnione zbrodnie wojenne, otrzymują pod protektorem amerykańskim intratne i wpływowe stanowiska, umożliwiające im odbudowę ich gospodarczej potęgi.

Odnowienie dawnych form koncentracji przemysłowej w zachodnio-niemieckim przemyśle doprowadziło znowu do tego, że pięć monopol kontroluje prawie że całą produkcję stali. Przemysł chemiczny został ponownie w całości opanowany przez osławione IG Farben. Cztery firmy przemysłu samochodowego produkują ponad 80% wszystkich samochodów. Trzy instytucje kredytowe, które przejęły funkcje trzech dawnych banków monopolistycznych: Deutsche Bank, Dresdner Bank i Commerzbank, decydują o 55% wszystkich kredytów, przyznawanych przez 337 banków istniejących obecnie w Niemczech Zachodnich.

Pozostawienie wbrew wyraźnym postanowieniom Układu Poczdamskiego monopolom niemieckim ich dawnych pozycji gospodarczych, doprowadziło do zagarnięcia przez nich również władzy politycznej. Odbudowa i koncentracja pozycji gospodarczych w rękę byłych faszystowskich podlegaczy wojennych doprowadziła do koncentracji władzy politycznej w ich rękę. Patronuje im Adenauer, powiązany z szeregim monopolistycznych zakładów przemysłowych, wspierany w zakresie polityki wewnętrznej przez ministra spraw wewnętrznych hitlerowca Lehra. W partii politycznych, popierających rząd Adenauera, grają decydującą rolę w CDU bankier Pferdemenges i dyrektor

Henle z koncernu Klöcknera, a w FDP przewodniczący jej frakcji parlamentarnej poseł A. Euler, reprezentujący interesy przemysłu chemicznego.

Niemiecki kapitał finansowy odzyskał jednak nie tylko swoje wpływy i pozycje wewnętrzne w Niemczech Zachodnich, lecz jest również w trakcie zdobywania sobie znaczenia w międzynarodowym obiegu imperialistycznym, co pogłębia sprzeczności wewnętrzne tego obrotu. Uwidacznia się to w szczególności w eksporcie kapitałów, charakterystycznym objawie dla końcowego stadium imperializmu. Szereg przemysłów, przede wszystkim przemysły: chemiczny, budowy maszyn, elektryczny i samochodowy przystąpiły bądź to do zakładania swoich filii w szeregu krajów, bądź też nabywają udziały w przedsiębiorstwach zagranicznych. W tej ekspansji zagranicznej niemieckich monopolu uczestniczą czołowe firmy monopolowe, jak Bayer-Werke, Mannesmann, Krupp, Gutehoffnungshütte, Henschel, AEG, Siemens, Autounion, wszystkie koncerny znane ze swej działalności z zakresu przygotowywania drugiej wojny światowej. Swoją działalnością objęły w szczególności Afrykę, gdzie monopol amerykańskie rozbudowały bazy przemysłu zbrojeniowego dla trzeciej wojny światowej. Przenikają do Hiszpanii i krajów Ameryki Południowej, w których monopolom niemieckim ułatwiają penetrację rządy faszystowskie. Wreszcie dokonują inwestycji przemysłowych w Pakistanie i Indiach, pozostających nadal w wielkiej zależności od anglo-amerykańskich monopolistów, uprawiających politykę kolonialną.

Ekspert niemieckiego kapitału finansowego następuje z jawną szkoda ludności i gospodarki niemieckiej. Podczas gdy we znaki daje się brak kapitałów inwestycyjnych na budownictwo mieszkaniowe, gdy jeszcze miliony ludzi w Niemczech Zachodnich zmuszani są, w warunkach przeczących najprymitywniejszym potrzebom, gnieździć się w barakach i powojennych bunkrach, gdy brak jest pokrycia dla najpotrzebniejszych inwestycji w górnictwie i szeregu przemysłach, ma miejsce lokowanie niemieckich kapitałów zagranicą. Następuje to przede wszystkim w celach zbrojniczych, nie licząc się z rzeczywistymi potrzebami narodu niemieckiego.

Niemieckie banki monopolowe odbudowują swoją dawną sieć filii zagranicznych, co ułatwia penetrację niemieckiego kapitału finansowego. Państwa zachodnie przygotowują

zwrot zagranicznej własności niemieckich monopolu, które potrafiły zachować około dwóch trzecich swego przedwojennego zagranicznego stanu posiadania. Ta zgoda na eksport kapitałów przez monopol niemiecki, jak również ich udział w międzynarodowych porozumieniach monopolistycznych jest dalszym doświadczeniem dawnych pozycji gospodarczych i politycznych przez władców niemieckich koncernów i trustów. Takich międzynarodowych porozumień, w których biorą udział monopol niemiecki, zawarto ostatnio cały szereg w przemyśle: chemicznym, budowy maszyn i elektrotechnicznym. Celem ich jest podział surowców i rynków zbytu między poszczególne monopolami oraz chęć podwyższenia cen. W Europie Zachodniej monopol niemiecki wysuwają się więc pod patronatem monopolu amerykańskich, jako ich główny, lecz zależny partner, na pierwsze miejsce.

Nowym etapem w rozwoju międzynarodowych monopolistycznych organizacji jest „Europejska Unia Górniczo - Hutnicza”, obejmująca sześć krajów zachodnio-europejskich z największą produkcją stali i wydobyciem węgla. Celem tej Unii Górniczo - Hutniczej jest nie tylko monopolistyczne ujęcie produkcji i zbytu przemysłów górniczych i hutniczych w krajach zjednoczonych w Unii, lecz wyjęcie tych przemysłów spod kontroli własnych władz państwowych i podporządkowanie ich władzy Unii Górniczo - Hutniczej. Monopolom niemieckim przeznaczono i tutaj zasadnicze wpływy.

Oczywiście, że odnowienie imperializmu niemieckiego jest podjętą chęcią jak najprędszego przeprowadzenia remilitaryzacji Niemiec Zachodnich i włączenia ich do agresywnego bloku Północnego Paktu Atlantycznego. Polityka ta służy przede wszystkim interesom monopolistów i jest polityką zdrady żywotnych interesów narodu niemieckiego. Wciąż Niemcy Zachodnie do rozgrywek międzynarodowego kapitału monopolistycznego (pogłębia imperialistyczne sprzeczności), utrwała podział Niemiec i prowadzi na linii podchwytliwej do wywołania trzeciej wojny światowej.

Ta polityka zdrady interesów narodu niemieckiego znajduje w Niemczech poparcie tylko takich sił, które nie wahają się podporządkować narodu niemieckiego interesom amerykańskim, których nie odstrasza nawet perspektywa bratobójczej walki Niemców z Niemcami. Są to te same siły, które rozpały drugą wojnę światową i które gotowe są, dla zabezpieczenia interesów swej

własnej nielicznej klikki, wpędzić świat w katastrofę trzeciej wojny światowej.

Czynnikami te usiłują dla swych celów z całą świadomością zachować w Niemczech Zachodnich ciągły stan wrzenia. Dlatego właśnie nadal podtrzymują sztucznie problem przesiedleńców, zapobiegając jego rozładowaniu, przeciwdziałając się naturalnym dążeniom tego elementu do zespolenia się z ludnością miejscową. Baraki, fatalne warunki egzystencji, wszystko to ma ułatwiać szerzenie hasel rewizjonistycznych i odwołowych wśród ludzi, w których imperialiści niemieccy upatrują jedną z głównych swoich baz operacyjnych, a przede wszystkim materiał rekrutacyjny dla tworzenia Wehrmachtu.

Taka jest linia rozwojowa wytknięta Niemcom Zachodnim przez amerykański kapitał monopolistyczny, a realizowana przez zależne od niego monopol niemiecki. Opierając się na metodach policyjnych rządzenia i na stwarzaniu faktów dokonanych, imperialiści niemieccy szukają jednak zarazem oparcia społecznego. Ale argumentacja ich, argumentacja odwetu i nowych zarobów; trafia jedynie do tych, którzy stanowią trzon NSDAP oraz do pewnego odłamu wspaniałych już przesiedleńców. Olbrzymia większość społeczeństwa pragnie jak najszybszego przywrócenia jednoci Niemiec i utworzenia ogólnoniemieckiego rządu, który zapewniłby trwałą pokój. Pragnie podpisania traktatu pokojowego, a tym samym przywrócenia narodowi niemieckiemu pełnej suwerenności i równouprawnienia, zapewnienia nareszcie wycofania wojsk okupacyjnych, położenia kresu obcej ingerencji w gospodarce i polityczne zagadnienia Niemiec, stworzenia podstawy do samostanowienia narodu niemieckiego we wszystkich zagadnieniach politycznych, społecznych, gospodarczych i kulturalnych.

Pragnienia te znalazły pełne zrozumienie i poparcie w notach radzieckich z 10 marca, 9 kwietnia i 24 maja 1952, które ukazały konkretną możliwość realizacji celów wytkniętych przez wszystkie siły narodowe w Niemczech walczące o jedność, niezawisłość, demokrację i pokój. Czas nieodparcie działa na ich rzecz. Stąd ciągle wysilki Adenauera, zmierzające do zaskakowania własnego społeczeństwa, stąd coraz wyraźniej zarysowująca się sytuacja rządzenia bez narodu i przeciw narodowi. Sytuacja, której niezwłocznie rozumie nawet sam Adenauer.

Antoni Stań

JADWIGA PIETRUSIEWICZOWA

NAD WIER SZAMI JANA Z CZARNOŁASU



Jan Kochanowski

O D czasów, w których żył i tworzył Jan z Czarnolasu zleci nam czterysta lat, ale dziś jeszcze wiersze tego największego poety polskiego Renesansu są dla nas żywe i piękne. Wyszły one spod pióra szlachcica reprezentującego ideologię postępowego odłamu swej klasy, wyrażającego te poglądy i tendencje szlacheckiego obozu reform, które były zgodne z interesami narodu. Niektóre z nich powstały w cieniu królewskich i magnackich komnat, inne w zaciszu szlacheckiego dworku, ale jedne i drugie śmiało przelamywały klasowe bariery, zdobyły szeroki krąg czytelników, dotarły do plebsu. Czytali je, podziwiali i nasładowali plebejscy powieściowscy, reprezentujący obok arian najbardziej postępowy nurt ówczesnej literatury, zwrócono się do Kochanowskiego w dobie Oświecenia, gdy literatura polska dźwigała się z upadku, podziw dla jego twórczości, dla piękna jego poetyckiego języka wyrażali nasi najwybitniejsi poeci romantycy. Burżuazyjna nauka o literaturze usiłowała sprepować sylwetkę poety dla swoich celów, oddać jego twórczość w służbę własnej ideologii. Ale pisarstwo Kochanowskiego służyło zawsze narodowej sprawie i wszelkie usiłowania, zmierzające do zafalszowania stanowiska ideologicznego poety speliły na niczym. Kochanowski żyje ciągle wśród nas, żyje nie tylko w szczerym gronie znawców i miłośników poezji starożytnej, ale także w szerokich masach narodu, pielęgnujących swe postępowe tradycje. Wymownym jest dowodem na to ostatnia uroczystość w Czarnolasie, która ścigała tłumy ludzi z okolicznych wsi i pobliskich miast, przedstawicieli nauki, sztuki i literatury, chłopów, ro-

botników i pracującej inteligencji. Wymownym tego dowodem jest szczególnie pietyzm, jakim chłopcy z Czarnolasu otaczają i sam dwór (choć on nie z XVI wieku) i piękny park, w którym stare lipy szumą chyba tak samo, jak wówczas, gdy poeta w ich cieniu cieszył się pięknem i radością życia, gdy uczu- ciom swoim nadawał artystyczny kształt, tworząc narodową poezję.

W ciekawych czasach żył i tworzył Jan Kochanowski, jego twórczość przypada bowiem na okres najbujniejszego rozwoju polskiej kultury renesansowej. Dzieckiem był jeszcze, gdy szlachta zebrana na sejmiku w Śródzie śmiało sformułowała swoje zaręby pod adresem kosmopolitycznego kleru i swoje żądania literatury w języku narodowym: „Aby nam księża nie bronili improwować po polsku historii, kronik, praw naszych i też inższych rzeczy... Albowiem każ- za bić sobie rzeczy rozmaite, a czemuż też nam nie mają być naszym językiem? Tu też wielka nam się krzywda widzi od księży, albowiem każdy naród ma swym językiem pi- sma, a nam księża każą głupimi być”. Literatura w języku narodowym ma być teraz orężem w walce ze stanowiskiem kleru w państwie, z jego wpływami politycznymi, z propagowaną przez niego, a obcą narodo- wi, kosmopolityczną kulturą, z wpa- janiem w masę średnio-wiecznym światopoglądem. Śmiało podjęli tę walkę pisarze szlacheccy tacy jak Marcin Bielski i Mikołaj Rej, ale, choć zasługi ich są wielkie, nie mie- rzyć im się z Janem Kochanowskim, któremu przyznać trzeba miano twórcy narodowej poezji polskiej, twórcy polskiego języka poetyckiego. Jego twórczość odegrała w to- czącej się walce olbrzymią rolę, propa- gowała bowiem nowy, renesanso- wy pogląd na świat, głosiła szczytne, humanistyczne ideały. Dla Kochanowskiego przedmiotem zainte- resowania jest przede wszystkim człowiek i jego ludzkie, ziemskie sprawy. Tym humanizmem przesy- cone są wszystkie wiersze Kochanowskiego, nawet jego słynny „Hymn do Boga”, nawet przekład „Psalterza”. Ten humanizm ułatwia mu zerwanie ze średnio-wieczną ideologią, wyzwolenie się z pęt misty- cyzmu i dewocji. Sam poeta w jed- nej z pieśni doskonale wyraża swój pogląd na te sprawy.

„Nie umiem ja, gdy w żagle Uderzą wiatry nagłe Krzyżem padać i świętych prze- najdować dary...”

Kochanowski wolny od średnio-wiecznego sposobu myślenia tym pew- nie głosi prawo do wyrażania oso- bistych, najbardziej ludzkich uczuć radości i smutku, uczuć miłości i przyjaźni, do wyrażania poglądów na sprawy państwowe, żywego rea-

gowania na aktualne wydarzenia. Uderza w tych wszystkich wierszach głęboka prawda przeżyć i głęboka prawda artystycznego wyraża. Szczytowym osiągnięciem są tu riew- wątpliwe „Treny”, w których prze- muje realizm, z jakim poeta przed- stawia uczucia osieroconego ojca. Poeta humanista pisze też zale na- grobne nie z powodu zgonu jakiejś wybitnej osobistości, nie na cześć mecenasa, czy kogoś z jego „od- jiny”, aby pozyskać sobie względy mu- zycznych, ale śmiało gwałci prawa póź- no - renesansowej poetyki i pisze wiersze o ukochanym, małym dzie- cku, pisze z głębi zbolełego ojcow- skiego serca, nie oglądając się na to, jak one będą przyjęte. Broni Kochanowski w ten sposób prawa do oso- bistych uczuć zwykłego człowieka i już to samo decyduje o wartości „Trenów”. I jeszcze jedno: w „Tren- nach” śmiało sięga poeta do poezji ludowej, do pieśni gminnej, której motywy artystycznie przetworzone i podniesione na wyżyny prawdzi- wej sztuki śmiało wplata w poszczególne wiersze cyklu. Nawiązuje tu Kochanowski do najświetniejszych tradycji europejskiego renesansu, który we Włoszech i na Zachodzie w pierwszej fazie swego rozwoju na- wazywał do rodzimej ludowej twor- zności i w oparciu o nią tworzył na- rodową literaturę. Nie pierwszy to

JAN KOCHANOWSKI

P I E Ś Ń V I I

Słońce pali, a ziemia idzie w popiół prawie,
Świata nie znać w kurzawie;
Rzeki dnem uciekają,
A zagorzałe ziola dżdża z nieba wołają.
Dzieci, z faszłą do studniej; a stół w cień lipowy,
Gdzie gospodarskiej głowy
Od gorącego lata
Broni list, za wsadzenie przyjma zapłata.
Lutni moja, ty ze mną; bo twe wdzięczne strony
Cieszą umysł trapiiony,
A troski nieuspione
Prędkim wiatrom podają za morze czerwone.

Z „S O B Ó T K I”

PANNA II:

To moja największa wada,
Ze tańcząc barzo rada;
Powiedz mi, me sąsiady,
Jest tu która bez tej wady?
Wszystki mi się usmiechacie,
Podobno ze mną trzymacie;
Postępujmy tedy krokiem,
Aleć niemasz, jako skokiem.
Skokiem tańca nasnadniejszy
A tem jeszcze pochodniejszy
Kiedy w bęben przybijają,
Samy nogi prawie drgają.
Teraz masz czas, umiesz-li co,
Mój nadobny bębnioko!
Wszystka tu wiesz siedzi wkolo,
A w pośrodku same czolo,
Zeby też tu ta nie była,

w twórczości Kochanowskiego fakt korzystania z motywów ludowych. Wcześniej można to spotkać w „Pie- śni świętojańskiej o Sobótce”. Jest to jeden z pierwszych utworów, które powstały w zaciszu czarnoleskim, z dala od intryg i zgiełku dworu. Nie- omijalny instykt kieruje kroki poe- ty ku źródłom najczystszej poezji — ku pieśniom i zwyczajom ludowym. Zapewne „Pieśń świętojańska o Sobótce” stwarza właściwie mit wsi, która wówczas nie była ani tak „spo- kojna” ani „wesola”. Lud ukazy- ny jest w jakże rzadkim na pańskim, feudalnym folwarku, dniu odpoc- czynku i zabawy, a więc w sytuacji nie najbardziej typowej dla calos- kształtu życia pańszczyźnianego chłopca ale ta zabawa ukazuje jest prawdziwie, tematy pieśni poszcze- gólnych pańien wzięte z poezji ludo- wej, aczkolwiek, tak jak i w „Tren- nach” są artystycznie przetworzone. O czymże bowiem śpiewają dziew- częta w „Sobótce”? O tańcu, o żar- tach i zabawach. Jedną niepokoi się, aby któraś z towarzyszących nie odbiła jej chłopca, druga mieszka się żartobliwie, że „nie ma przed Szym- kiem pokoja” i kreśli sylwetkę mło- dego uwodziciela, zwracającego głowę wszystkim dziewczętom. Pan- na żali się, że ukochany poszedł na wojnę, niepokoi się o niego i prze- klina tych, którzy wojnę wymyśliłi.

Jakże prosto wyraża ona chęć póź- nia z ukochanym i dzielenia z nim wojennych trudów.

„Przynajmniej by mi w potrzebie Wolno stanąć wedle ciebie; Przywykłych by i ja zbroi. Bodaj przepadł, kto się boi!”

Ten motyw spotykamy bardzo czę- sto w pieśniach ludowych i Kochanowski napewno stamtąd go prze- jął, nie ujmując nic z prawdy i szczeroci wyrażonych w nim uczu- c. Ta prawda artystycznego wyra- zianiu o trwałej wartości poezji Kochanowskiego. Jest to zresztą ce- cha wszystkich jego wierszy, które są wyrazem istotnych przeżyć poe- ty, a nie konwencji literackich. Uderza ona zarówno w pieśniach refleksyj- nych, w których poeta rozmyśla nad sensem życia rzuca na tło weso- łej biesiady, lub pięknego opisu przyrody, jak w pieśniach patrio- tycznych, wzywających do poświę- cenia dla „pożytku dobra społeczne- go”, lub boleśnie obnażających szla- checką lekomyślność i zaniedbanie obrony granic. I te wiersze nie utra- ciły nic ze swej świeżości — nic dziwnego, Kochanowski bowiem, choć sam szlachcic, choć krytykuje ówczesne stosunki z pozycji szla- checkich, przecież krytykuje tak szu- sznie, że i my dziś niektóre zarzuty pod adresem Rzeczypospolitej szla- checkiej możemy wypowiadać słowa- mi twórcy „Odprawy posłów greckich”. W tragedii tej skonstruo- wanej na wzór Eurypidesa i pozor- nie sięgającej do motywów antycz- nych Homera eposu ukazał poe- ta z całym realizmem ówczesne sto- sunki, dał jakby mały wycinek ów- czesnej rzeczywistości z typowymi sytuacjami i typowymi bohaterami. Relacja Posła z przebiegu narady u Priama mówi tak dużo o ówczesnych „zmachach, że można nie sięgać do dia- rystyki i wiedzieć jak wyglądało do- bywanie stronników, jak warchol- stwo zwyciężało patriotyzm i zdro- wa myśl polityczną. Ale i w tym dziele Kochanowski-humanista nie stracił z oczu człowieka. Ukazuje nam bowiem nie tylko ty- powego magnackiego panicza, zło- tem kupującego stronników, nie ty- lko sejmowego warchola szermujące- go demagogią, nie tylko patriotę „ławajającego dobro państwa ponad osobistymi korzyściami, ale w dia- logu Heleny z Panią Starą ukazuje potoczne ludzkie, prywatne sprawy, które czynią tragedię jeszcze bar- dziej bliską i żywą, a nie pomniej- szają jednocześnie wagi spraw ogol- nych.

Światopogląd poety znalazł nap- rawdę pełny wyraz w „Frasz- kach”, w których obok niemal wszystkich cech zaobserwowanych w przytoczonych poprzednio utwo- rach, mamy jeszcze jedną, znamie- nną dla poety renesansowego, a więc

i dla Kochanowskiego — humor. Na kartach wszystkich trzech ksiąg „Fraszek” rozbrzmiewa gromki śmiech. Budzą go zrzeczne, dowcipne epigramaty, układane może doryw- czo, aktualnie, przy biesiadnym sto- le, ale ostatecznie wykończone i uję- te w doskonały artystyczny kształt. Poeta śmieje się sam z tych świe- tnych dowcipów i każe się śmiać czy- telnikowi. Nie przerażało go to, że niektórzy sarkali potrosza na zbyt- nią dosadność wysłowienia. Odpo- wiada im żartobliwie że

... ma być stateczny
Sam poeta; rym czasem ujdzie i szczerzy.

„Wszeteczeństwo” rymów Kochanowskiego — godzi w obłudę i pse- udo-moralność, cofającą się przed nazwanym rzezy po imieniu, ale nie cofającą się przed zlem. Kochanowski tę obłudę doskonale demas- kuje.

„Pytano kaznodzieję: „Czemu to, pralacie; Nie tak sami żywicie, jako nau- czasie?”

(A miał doma kucharke); „Mój panie, Kazaniu się nie dziwiuj, bo mam pięćset za nie, A nie wziąłbych tysiąca, moję to rzeć śmieie, Bych tak miał czynić, jako nau- czam w kościele”.

Również na kartach fraszek śmie- je się często poeta z urzędowych niejako przedstawicieli tej zakłama- nej moralności. Kaznodzieję, prala- ci, kapelani królewscy ba, nawet poe- stę papieski i sam papież są przed- miotem ostrej drwiny. Śmiech Kochanowskiego, podobnie jak u Ra- belais'a wyraża protest przeciwko ideologii kleru. Jednocześnie tutaj właśnie znajduje wyraz renesanso- wa radość życia. Źródła jej są bardzo różne: może to być biesiada z przy- jęciami, może piękno przyrody, mo- że wreszcie miłość, o której Kochanowski, twórca polskiego erotyku tak pięknie i prawdziwie pisał u- miał, jak nikt przed nim. I on tak zresztą, jak nikt inny umiał mię- dzy te wiersze żartobliwe i miłosne wpleść refleksyjną zadumę nad to- kiem ludzkiego życia, dając tym wszystkim najpełniejsze świadec- two czasów, w jakich żył. Jego poe- zja uczy i wwehowuje, dostarcza głębokich, artystycznych wzruszeń, nie wiec dziwnego, że uroczystość otwarcia Domu Kultury w Czarno- lasie ścigała prawdziwe tłumy go- ści. Speliły się przewidywania poe- ty, który miał nadzieję, „że przed- się za laty, nie będą moje czule no- cy bez zapłaty...”, bo to garną się do ksiązek Kochanowskiego szerokie rzesze polskiego ludu, któremu Pol- ska Ludowa zapewnia udział we wszystkich dobrach kulturalnych narodu. Jadwiga Pietrusiewiczowa

JERZY SKÓRNICKI

O L U D Z I A C H O D Z Y S K A N Y C H.



Kazimierz Koźniewski

„P IĄTKA z ulicy Barskiej” Kazimierza Koźniewskiego — to dobra i mądra książka pisarza, który wyszedłszy od powieści sensacyjnej („Szczotka do butów”) — przeżył dobrą szkołę reportażu i powrócił znow do powieści, dając książkę o ilez głębszą od pozycji wyjściowej. Choć nie jest to zapewne jeszcze pełne wykorzystanie wszystkich możliwości, jakie daje pi- sarzom rzeczywistość naszych dni i realistyczna metoda pisarska, to jednak jest to przykład wiążący drogi ku niemu.

Już wstępne stadia lektury książki Koźniewskiego pobudzają do poszu- kiwania analogii. Tematycznie mogą one iść w dwu kierunkach — jeden prowadzi ku odpowiednikom literackiego odzwierciedlenia problema- tyki związanej z życiem naszej młodzieży, drugi zaś ku innej olbrzymiej i ogólnonarodowej sprawie, której na- imię — Warszawa. Pierwsze i naj- łatwiejsze spostrzeżenie przywodzi na pamięć Igora Newerlego: „Jego „Archipelag ludzi odzyskanych”. Temat jest istotnie podobny. Wzwał dramatyczny książki Koźniewskie- go zawiera się bowiem w pytaniu, czy uda się odzyskać dla normalnego życia któregoś z przedstawianych nieletnich wykołenców — ofiar miono- nej wojny i jeśli tak — to które- go? Śięgając głębiej, można odkryć za „Piątką z ulicy Barskiej” również i „Poemat pedagogiczny” Makarenki.

*) Kazimierz Koźniewski. Piątka z ulicy Barskiej Warszawa 1952. PIW, str. 283+3 nb.

Nie chodzi tu o paralele literackie, ani tym bardziej o teorię wpływów, istotne jest w tych wyliczeniach świadectwo, ukazujące — jak głębo- kich i jak bardzo zasadniczych pro- blemów dotyka Koźniewski w swej nowej powieści.

Jest jeszcze jedna książka świeża i aktualna w pamięci czytelniczej, której niesposób tu nie wymenić, mianowicie — „Pokolenie” Czeski. Korzenie konfliktów powieściowych „Piątka z ulicy Barskiej”, wyrasta- jące z przeszłości okupacyjnej, tym mocniej podkreślają głęboko ludz- kie walory bohaterów „Pokolenia”. Wspomnienie „Pokolenia” Bogdana Czeski jest konieczną antytezą w momencie podchwytywania genezy wydarzeń, jakie stały się udziałem „Piątka z ulicy Barskiej”. Powieść Czeski ukazuje, czym jest dla po- kolenia młodych wcześniej odkryta siła słusznej idei; powieść Koźniew- skiego uczy, czym może grozić mło- dzieży brak tej siły.

Problem Warszawy, jej bogatego życia i odbudowy, równie aktualny dla powieści Koźniewskiego — nie daje jak dotąd tak szerokich możli- wości porównawczych, jak poprzedni. „Nowy mur” Hussarskiego, „Wczoraj i przedwczoraj” Maliszewskiego”, to zbyt nikłe świadectwo niedostatecz- nego jeszcze zainteresowania naszych pisarzy problematyką „stoleczno- warszawską”, by umożliwiły głębsze rozważania. Wystarczy jednak dla uprawnomożenia sądu to, że obraz Warszawy u Koźniewskiego jest prawdziwy i bardziej żywy, choć po- nad wszelką wątpliwość nie jest on w tej dziedzinie słowem ostatnim.

2. „Piątka z ulicy Barskiej”, to kilku- miesięczne dzieje pięciu warszaw- skich chłopaków, otwierające się pro- cesem w sądzie dla nieletnich — chłopcy występują w nim w charak- terze pod sądnych. Za kradzież papy z magazynów budowlanych zapada wyrok skazujący młodocianych zło- dziejaszków na pobyt w domu po- prawczym z dwuletnim zawiesznie- niem. Chłopcy dostają urzędowego kuratora w osobie eks-nauczycielki — pani Majewskiej. Wyrok sądowy mimo posiadanych przez milicję i sedzięgo poszlak, nie zdołał z braku dostatecznych dowodów odkryć in- nych sprawek młodocianej bandy. Wyrok ten nie zlikwidował sprawy najistotniejszej — bezpośredniej sprężyny popychającej młodych w kierunku złośliwych ekcesów, choć źródło moralnych wpaćzeń zostało trafnie uchwycone: pokło-

sie minionej wojny. Czas trwania dalszej akcji zawiera się między grudniem 1947 a letnimi miesiącami 1948 roku.

Piątka chłopców z ulicy Barskiej nie była tylko biernym bagażem przejmowanym przez nowe społe- czeństwo w spadku po bezprawich czasach okupacji. Zwichnięta wojen- ny przemocami myśl chłopięca sta- ła się zerowiskiem politycznej reak- cji. „Piątka z ulicy Barskiej” była ekspozycją ukrytego w głębszych i ciemniejszych brzdach przyrody politycznego — rabusia, konspira- tora i szpiega, tajemniczego „szefa” — Zenona. Wyrok sądowy i państwo- wa kuratela postawili ich twarzą w twarz z nową rzeczywistością i pod- dały ich olbrzymiej regenerującej si- le tej rzeczywistości. W długim i skomplikowanym procesie począł na nich oddziaływać wychowawczy wpływ pracy, ale działająca w od- wrotnym kierunku siła nawyków, do- tychczasowej szkoły ideowo wycho- wawczej i bezcelnego szantazu utr-zymywali ich dłużej w zależności od rozkazów i poleceń zbrodniczego podziemia. Nic więc dziwnego, że kilkumiesięczne dzieje pięciu chłopaków z warszawskich rogat- ek są tak pełne starć i konfliktów. Nie również dziwnego, że tego rodzaju sytuacja musiała nieuchron- nie prowadzić do starcia decydujące- go obu kierunków oddziaływania. Obraz tego starcia, przynoszący peł- ne moralne wyzwolenie trzem z piąt- ki i pełne — choć niezupełnie jasne — przesłanki odrodzenia czwartego — zamyka karty powieści. Zwycięza w książce Koźniewskiego oddziaływa- nie żywotnych sił społeczeństwa, co- raz skuteczniej kierującego się ku budowaniu jasnej przyszłości, zwy- cieża siła ludowej rzeczywistości.

3. Artystyczny walor powieści Koźniewskiego wyznacza fakt, że zwy- cieża w niej fabuła i pełna prawda przedstawienia nad schematem.

Jest to powieść o całej piątce, a nie jednym tylko chłopaku z Ochoty, Mokotowa czy Czerniakowa. Ukaza- nie losów pięciu rówieśników, z któ- rych każdy nosi na sobie piętno ludz- kiej indywidualności, ułatwia pi- sarzowi budowanie zajmującej kon- strukcji wydarzeń. Z Markiem Ko- złem idziemy przecież na budowę Trasy i Mariensztatu, z Kazkiem Spokornym do pierwszej warszawskiej fabryki żarówek, małw niebieskooki Zbyszek Moczarski wprowadza nas w świat teatralnych realiów i doz-

nań, a nad wiek rozgarnięty Jacek Siwicki do redakcji warszawskiego dziennika — „retorty współczesnej rzeczywistości”, jak to określa Koźniewski. Postać Lutka jest znowu zu- pełnie niepodobna do wszystkich po- zostających — poza nurtem współcze- snych wydarzeń występuje on na tle szkoły i swego paskarsko - handlar- skiego otoczenia. A jednak fabularny sukces powieści Koźniewskie- go nie da się wyjaśnić samą liczbą wprowadzonych w ruch powieściow- ych postaci. Zdecydowała o nim umiejętność prawidłowego ukazywa- nia indywidualnie zabarwionych re- akcji poszczególnych bohaterów książki na najbardziej elementarne przejawy otaczającej ich świata.

Sędzia Wilczyńska i sądowy kurator Majewska, przejmując urzędową pieczę nad piątką, podjęli się trudne- go zadania skierowania zamąconych poczynań i pragnień młodych we wła- ściwy nurt życia. Fundamentem peda- gogicznych zabiegów stała się teza o zbawienne wychowawczym wpły- wie, jaki może przynieść właściwe rozbudzenie i zaspokojenie młodzień- czych zainteresowań. Koźniewski, który z koleji przejmuje też Wilczyń- skiej i Majewskiej, powiódł podwoj- ne pisarskie zobowiązanie: ma wier- nie odwzorzyć proces przemian psy- chicznych grupki młodych, a dla bez- blednego przeprowadzenia tego pro- cesu musi ukazać świat ich przeżyć w najbardziej ścisłych związkach z otaczającym ich światem. Jakie- kolwiek uchybienie czy uproszczenie artystyczne, bądź w sferze organizo- wania realiów, składających się na obraz świata, na którym mają się ry- sować procesy moralnego odnowienia (Marek, Zbyszek, Jacek) czy upadku (Lutek, Kazek) bądź też w sferze ana- lizy psychologicznej, prowadziłoby do natychmiastowej kłęski artystycz- nej. Sytuacja jest jasna — jeśli pisarz nie będzie w stanie ukazać rzeczy- wistości w jej bogatych, interesują- cych cechach — nie przekona czy- telnika, że ta sama rzeczywistość porwała i uleczyła zdegenero- wanych chłopców.

Sukces założeń pisarskich jest jed- nocześnie sukcesem realizmu oraz pogłębionej analizy psychologicznej i dobrym przykładem zwycięstwa wpr- wadzonej jako decydująca siła moty- rowicza, rozwiązująca powieściowe konflikty — ideologii nowego spo- łeczeństwa.

4. Obraz Warszawy lat 1947-48 nie jest w książce Koźniewskiego war-

tością autonomiczną. Przeciwnie, je- go przekonywająca prawda wpływa właśnie z tego, że poszczególnie fragmenty skomplikowanego życia miasta, są organicznie związane z działaniem ukazywanych na ich tle ludzi. I dlatego właśnie, choć kon- strukcja akcji powieściowej musiła być realizowana przez z góry zazo- ny wybór fragmentów warszawskie- go życia, otrzymaliśmy obraz, może utłumiony, ale niezwykle żywy i sugestywny.

Warszawa 1948 roku była terenem radowania pierwszych założeń plano- wej odbudowy. W atmosferze scep- tycznych uwag, niezadługo czyn- nym w ustach wrogów i dużego przywiązania do dawnych miejskich konturów rosły pierwsze rad podziw- śmiały, potrącające o zuchwałość, otrzymane koncepcje urbanistyczne. Wyknanie zamierzonych prac było w równym stopniu uzależnione od su- chych środków materialnych, jak i od nowych zasad organizacji pracy: tam — gdzie pojawiał się plan — harmonogramy prac, koniecznym współzynnikiem wykonania stawa- ła się zdyscyplinowanie załogi, świad- ość rozwiązywania zadań i poszu- kiwanie nowych metod pracy. W świat warszawskiego zagłębia budo- wanego wprowadza nas w książce Koźniewskiego droga życiowa Mar- ka Kozła, wytyczana mu przez ku- ratora Majewską. Nie od razu i nie łatwo wpadł Marek w rytm budo- wanej pracy — budowlani Junior organizowali się w zwarty robotni- czy zespół, przewyciężając tradycy- ne cechowce skłonności. Ale pierw- szej chłopięcy sukces w trójce murar- skiej Kompla stał się programem nowego życia.

Podobny nurt spraw wypełniał ży- cie warszawskiej fabryki do której trafił Kazek Spokorny.

Kulawy Jacek i dziecinny Zby- szek przenoszą naszą uwagę do in- nego kręgu warszawskiego życia: ich domena jest redakcja dziennika i teatr. I choć nie ma w książce roz- budowanych partii, które byłyby zdolne ogarnąć skomplikowany tryb pracy tych bardzo specyficznych in- stytucji kulturalnych, to jednak odczuwamy w pełnym rytm pulsują- cym w nich życia, podchwytujemy atmosferę zasadniczych dyskusji i starć, które prowadziły do przebudo- wy pracy i teatru w kierunku jak najbardziej pełnego zaspokojenia na- szych potrzeb ludzi nowego czasu.

Cały ten obraz malujący Warszawę 1948 byłby bardzo niepełny, gdyby

zabrakło w nim przedstawienia jej drugiego oblicza, kryjącego się pod- czas po piwnicach wypalonych domów, w paskarskich kryjówkach i w ciemnych, zadymionych lokalach „Piekielek-Hadesów” i im podob- nych. Paskarstwo, walcuarstwo, kradzież, napad rabunkowy — „eks- propiacja” i szpiegowskie kontakty z ambasadami zamorskich kra- ów wiązały silnie ze sobą i jednocią złośliwego działania i zasad ka- techizmu politycznego — cały klan szumowin i mętów społecznych. Po- wieść Koźniewskiego daje nieklam- ną obraz najbliższej warszawskiej przeszłości. Obraz ten i po swej ciennej stronie nie jest statyczny — twarde ramię ludowej sprawiedli- wości coraz skuteczniej docierało do samych korzeni społecznego szkod- nictwa likwidując je i niszcząc.

5. Sprawa Kazka Spokornego jest w książce Koźniewskiego sprawą naj- trudniejszą. Początkowo budzi ona nawet sprzeciw, chęć polemizowania z pisarzem... „Ze Lutek Kozłowski był drań i słusznie poszedł za kratki, to racja... Ale Kazek?...”

W wyniku rozwiązania powieścio- wej perypetii banda Zenona do- staje się w ręce milicji w momencie przeprowadzania „sądu” nad zbu- nowanymi chłopcami z Barskiej. Marek, Janek, Zbyszek uznają się ostatecznie od groźnej umowy młodzieńczego życia. Lutek Kozłowski mimo swej wszechogarniającej niemawicy, rozciąganej nawet nie- kiedy na „szefa”, a jednocześnie wskutek niej, nigdy nie odszedł ani na krok od spraw bandy. Miał zbyt przearty zbrodnia organizm, był przecież mordercą Radziszewskiego. Przy charakterystyce Kozłowskiego trzeba przyznać na plus Koźniew- skiemu, że nie poszedł łatwą drogą rysowania „szwarzcharakteru”, że dał i w tym miejscu dobrą analizę psychologiczną (np. świetnie została ukazana sfera marzeń i pedagogicz- nych upodobań Kozłowskiego).

Alle historia Kazka była napraw- dzie fatalna. Kazek pierwszy odnalazł zadolenie w pracy, pierwszy zo- stał przodownikiem na swoim odcin- ku. Jego sukces i jego praca były najmniej efektowne z tych wszyst- kich, jakie przypadły Markowi — jednemu z najgłośniejszych w War- szawie pomocników murarskich, Zbyszkowi — świecącemu tryumfy aktorские i Jackowi — radośnie u-

(Dokończenie na str. 7)

PRZED ZŁOTEM MŁODYCH PRZODOWNIKÓW (III)

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

Dziewczęta z Czwartej Lewej

1.

SEKRETARZ egzekutywy Podstawowej Organizacji Partyjnej znalazł się twarzą w twarz w sieni Biura Obliczeniowego z przadką z Czwartej Lewej w chwili, gdy młoda kobieta trzasnęła za sobą drzwiami i mruknęła ze złością: — Cholera!

— Co się tak złościę, Malinowska?

Przędka wyjęła z torebki wążki pasek obliczeniowy. — Zobacz pan, jaka wypłata w tym miesiącu! Szlag człwieka może trafić!

Rozciągając trzepocząc na wietrze papierową wstążeczkę sekretarz odczytywał odbity na maszynie tekst:



Rys. J. Walker

Genowefa Malinowska, zaliczka — 250, zasadnicza — 701,31, premia produkcyjna — ta kratka świeciła pustką.

— To się nazywa zarobek? Na rękę wypada 450 złotych! — nie zatrzymując się, zabrała porywco sekretarzowi pasek i schowała do torebki. — Co to, pokraka jestem czy co?... Oślepiam albo się może zestarzałam w tym ZMP, żebym nie potrafiła więcej zarobić? — pytała uragilnie.

— Majster Klapecki powiada, że na całej Czwartej Lewej nikt nie ma takich zwinnych palców jak ja.

— Zarobki niskie, bo nie wykonujemy planu — mówił Ryl. — Jak podwyższymy wykonanie planu, to zarobki się zwiększą.

Malinowska podniosła obie ręce do głowy i poprawiła nerwowo niebieską, kretonową chusteczkę, spod której wmykały się jasne, syplące włosy. — Pan wie swoje, a ja swoje. Plan wykonamy, wiadomo. Ale co do zarobków, to u nas mówią: „Jak się przadka narobi, to nie nie zarobi”.

— To niby że jak? Kto winien? Maszyny, majstrowie, brygady remontowe?

— At, szkoda gadać! — Malinowska machnęła ręką, podwiązała mocniej chusteczkę pod brodą i pośpieszyła do wyjścia.

— Dzień dobry, towarzyszu — powitała go zimno nadchodząca właśnie Budzińska, kandydat z ZMP do Partii.

— Cześć! — odparł sekretarz. — Co słychać?

I uprzedzając przewidywaną odpowiedź, dodał sam: — Niedobrze. Nie wykonujemy planu.

— A nie wykonujemy — potwierdziła przadka. — Dużo w tym waszej winy, towarzyszu!

— Mojej winy? — zawołał wielkim głosem i pośpieszył za Budzińską jak poprzednio za Malinowską. — Mojej winy, powiadacie? Dlaczego? — domagał się głośno i natarczywie odpowiedź. — Powiedźcie! Gdzie tu jest moja wina? Co ja mogę więcej zrobić? Widzicie przecie, że się staram, mało nie wyskoczę ze skóry!

— Mało nie wyskoczyć ze skóry — podchwyciła uragilnie Budzińska — ale co się dzieje na Czwartej Lewej, teg zza biurka nie widzicie!

— Jak to nie widzę? Widzę wszystko.

— Wszystko? Ejże, towarzyszu, a to, że majster hamuje produkcję, że nie pozwala przadkom z trzech stron przejść na pięć, to widzicie?

— Zaraz, towarzysko Budzińska, zaciekać, proszę was!

Ryl rozłożył krótkie ręce i zagroził przadce drogę do portierni. — Chwileczkę, Majster, powiadacie? Głowę daję, że mówicie o Stapińskim, że zgadłem! A komu to on zabrania przejść na pięć stron?

— A choćby mnie pierwszej!

2.

Podmajstrzy Owczarski ślinił otłówek, gryzmolił szeregi cyfr, głowił się i mozolił, i nie mógł obliczyć, ile zębów powinno posiadać koło rozciągowe dla nowego numeru przędzy. Udał się więc do Stapińskiego. — Panie majster, jakoś mi nie wychodzi.

Stapiński dmuchnął w swoje siwe, rozstrzępione włosy, otarł wierzchem dłoni krwiste i błyszczące, jakby wysmarowane tłuszcem policzki, wziął kartkę z rąk Owczarskiego, zasiadł do stołu i dokonał w ciągu minuty obliczenia.

Owczarski usiłował zerknąć przez atletyczne, obciążone granatowym czelechem ramiona majstra i podpa-

try trzy sposób wyprowadzania liczby, lecz niczego nie mógł dostrzec. Stapiński oteczył kartkę koloskim swych grubych rąk chroniącą ją zadróżnie przed okiem podmajstrzego.

— Trzydzieści osiem — podał mu tubalnym głosem wynik obliczenia.

Owczarski wyciągnął rękę. — Daj mi pan tę kartkę, panie majster, niech i ja się nauczę.

Stapiński uśmiechnął się jowialnie, pomachał grubym paluchem przed nosem Owczarskiego i schował kartkę do kieszeni drelichowego płaszcza. — Nie, bracie! Za szybko chciałbyś wszystko wiedzieć! Tak ci pilno odbierać chleb starym?

Do kantoru wbiegła przadka Pytloch. — Panie majster! — zawołała.

— Co się stało?

— Panie majster, zabrakło mi forganu!

— A to ci dopiero zmartwienie! Ja myślałem, że pożar — naigrawał się Stapiński z przadki. — Dobrze, dobrze! Wracaj pani do maszyny. Zaraz pani dośle trochę niedoprzedu.

Pytloch pociągnęła Owczarskiego za rękaw. — Owczarski, chociaż się mną tymczasem zobaczyć, co się na mojej szesnaste wyprawia, bo mi coś ta maszyna nawala.

Owczarski zaczął oglądać maszynę, lecz nie mógł doszukać się błędu.

— W porządku, powiadacie? — wrzeszczała Pytloch usiłując przekrzyczeć szum motorów. — A ja wam powiadam, że nie w porządku! Już wy mi oczu nie zmydlicie! Może to powiedziec komu innemu, nie mnie! Właśnie!... A potem się naskakuję na przadkę, że nie wyrabia bazy!

Przechodzący obok nich majster salowy pomógł Owczarskiemu. Okazało się, że szesnastka ma zdecentrowane wrzeciono i powinna iść do remontu.

— Co się stało?

— Panie majster, zabrakło mi forganu!

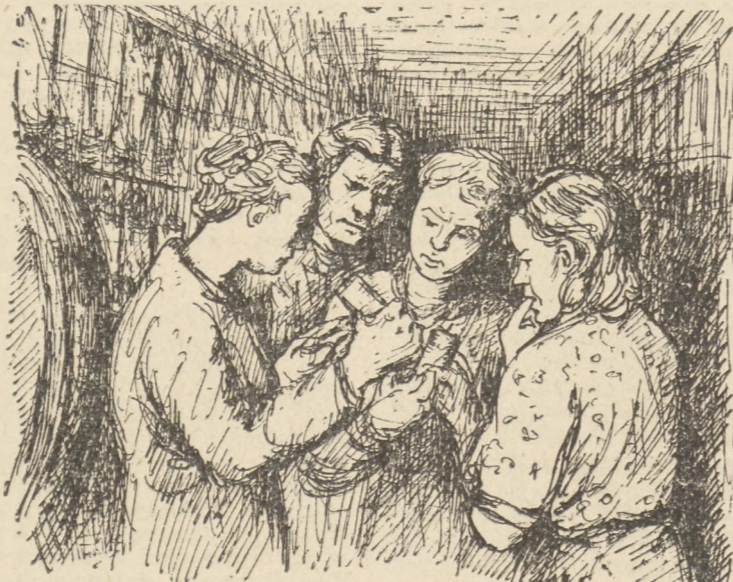
— A to ci dopiero zmartwienie! Ja myślałem, że pożar — naigrawał się Stapiński z przadki. — Dobrze, dobrze! Wracaj pani do maszyny. Zaraz pani dośle trochę niedoprzedu.

Pytloch pociągnęła Owczarskiego za rękaw. — Owczarski, chociaż się mną tymczasem zobaczyć, co się na mojej szesnaste wyprawia, bo mi coś ta maszyna nawala.

Owczarski zaczął oglądać maszynę, lecz nie mógł doszukać się błędu.

— W porządku, powiadacie? — wrzeszczała Pytloch usiłując przekrzyczeć szum motorów. — A ja wam powiadam, że nie w porządku! Już wy mi oczu nie zmydlicie! Może to powiedziec komu innemu, nie mnie! Właśnie!... A potem się naskakuję na przadkę, że nie wyrabia bazy!

Przechodzący obok nich majster salowy pomógł Owczarskiemu. Okazało się, że szesnastka ma zdecentrowane wrzeciono i powinna iść do remontu.



Rys. J. Walker

Owczarski skorzystał z okazji i poskarżył się na Stapińskiego. Salowy nie ośmielił donieść o tym dyrektorowi, który omawiał właśnie z sekretarzem Egzekutywy stosunek Stapińskiego do inicjatywy przadki z Czwartej Lewej, pragnących przejść na obsługę większej ilości stron.

Majster Stapiński został wezwany telefonicznie do dyrektora naczelnego.

Przadka Pytloch złapała za rękaw wychodzącego z przedziału majstra. — Panie Stapiński, forganu nie mam!

— Teraz nie mogę, panie święty. Jak wrócę od dyrektora.

— Dwie godziny temu meldowałam!

— Tylko bez nerw, pani Pytloch! Zrobi się, mówię! Wrócę od dyrektora, każę pani wydać forgan.

— Maszyna mi stanie!

— Odcepuj się pani, mówię! Mam ważniejsze sprawy.

Idąc do biura dyrektora Stapiński zobaczył stojącego w oknie dyrektora. Zaseponia twarz Dobosza nie wróżyła niczego dobrego.

— Proszę, niech pan siada, panie Stapiński — dyrektor wskazał majstrów krzesło. — Niech pan siada i niech pan powie, jak stoicie z wykonaniem planu?

Stapiński, który już był usiadł, podniósł się nieco, rozłożył ręce, usiadł z powrotem, położył ręce na łóżkach, przechylił się trochę do tyłu i dmuchnął w swe rozstrzępione włosy. — Panie dyrektorze, co tu gadać? Sam pan dobrze wie! Po co się oszukiwać? Na przedziałni brak pięć-

set ludzi. Upał jak w lipcu. Zrywność coraz większa, panie święty! Poczekajcie aż przejdą upały. Dodajcie wykwalifikowanych robotników. Wtedy będzie można mówić o wykonaniu planu.

Wzniósłszy głowę zatoczył tryumfującym spojrzeniem po biurze i dodał: — Dawniej to gromady bezrobotnych stały pod bramami, a teraz ludzi brak. Co ja na to poradzę? To są trudności.

— A jak pan sobie wyobraża robotę na przyszłość? Przemysł bawelnianski ma wykonać w 1952 roku bardzo poważne zadania. Na odcinku przedziałni w 3-im roku Planu 6-letniego zaplanowano znaczny wzrost produkcji, w porównaniu z 1951 rokiem.

Dyrektor posperzał w papierach. — Na przedziałniach średnioprzednich przewiduje się wzrost produkcji o 11,2 proc. — czytał. — Obniżenie kosztów własnych o 5,6 proc. Zmniejszenie postojów maszyn o 3,6 proc. Jak wykonamy te zadania, jeżeli będziemy tylko rozkładać ręce i biadolić, że brak nam ludzi i że przadki nie mają odpowiednich kwalifikacji.

— Tego to już ja nie wiem. Może Pan Bóg Centralnemu Zarządowi pomoże — śmiech gulgotał Stapińskiemu w gardle.

— Słyszałem — powiedział znow Dobosz po chwili — że zwracała się do pana ZMP-ówka Budzińska z prośbą o przeniesienie na pięć stron?

— Budzińska, ta smarkata? — zagrzmiął Stapiński. — Budzińska, panie święty, nie wyrabia normy na trzech stronach, a chce przejść na pięć?

Stapiński wierzchem ręki poglądził wasy, a potem zaczął dyszeć: — Pan dyrektor na mnie nalatuje, panie święty, bo panu się zdaje, że majster Stapiński to już nie nie potrafi. Dziś nastąpi takie czasy, że początkujące przadki chcą być mądrzejsze od majstrów.

— To bardzo dobrze — oświadczył Dobosz sucho — że przadki interesują się produkcją! Dobrze, że wykazują inicjatywę. Natomiast niedobrze, jeśli majstrowie hamują inicjatywę przadek, bo wtedy hamują produkcję — mówił podnosząc stopniowo głos. — Pan biadoli, że na przedziałni brak pięciuś ludzi, ale nie wykorzystuje pan inicjatywy robotnic, które same wskazują panu na wyjście z trudności. Bo tylko przejście na wielowarstwatość rozwiązuje sprawę braku ludzi.

3.

W kilka dni później w „Warcie Stalinońskiej”, gazecie fabrycznej, wydawanej przez Prezydium Rady Zakładowej, ukazał się artykuł, w którym były przytoczone słowa z przemówienia Prezydenta Bieruta: „Walczmy nieubłaganie z wszelkimi przejawami marnotrawstwa, walczmy z tymi, którzy nie nauczyli się jeszcze szanować dobra narodowego

Co jest najważniejszą sprawą w spółdzielni? Niewątpliwie umiejętność gospodarowania. Kto góruje w tej sztuce? Starzy — nie młodzież. Ale... sięgnijmy do przykładów. W dyskusji omawiano taki wypadek. W którejś spółdzielni zarząd — nie mogąc dać sobie rady z kontrolą — podzielił plantację buraków cukrowych na 13-to-arowe działki i każdą z nich przydzielił jednemu spółdzielcy do indywidualnej obróbki.

Takie „rozwiązanie” zaatakowali ostro uczestnicy narady. Krytyka uderzyła w samo sedno sprawy: rozdzielenie plantacji oznacza krok w tył, przywraca ono bowiem tradycję indywidualnego gospodarowania. Buraki ujęte w dużą plantację powinny być w spółdzielni tak być — przewidując — uprawiane (odstępny), aby dały się do ich pielęgnacji zastosować maszynowe opelacze, a przy zbiorze — ogławiać.

Oto perspektywa, jaką daje spółdzielnia: duża produkcja, wyższa agrotechnika, umaszynowanie i zespolenie — specjalistyczne — wykorzystanie pracowników.

Niefortunne posunięcie zarządu zdumchnęło wszystkie cztery warunki, charakteryzujące gospodarkę spółdzielczą i rozstrzygające o jej prawidłowym rozwoju.

W dyskusji ani razu nie padło słowo: praktyka „starego gospodarza”. Ale przecież o tę praktykę cała rzecz poszła, ściślej mówiąc — o jej stronę społeczną — o to że jest ona związana z pracą na indywidualnym gospodarstwie. Bo cóż popchnęło spółdzielców do podziału plantacji? Właśnie — stare, długetnie doświadczenie na swoim. Przez 20 — 30 lat gospodarzyli w pojedynkę na drobnych kawałkach ziemi; teraz gdy w nowych warunkach zespolowej pracy natrafili na pierwsze trudności, powrócili po prostu do tamtej, wypróbowanej praktyki — rozdzielił plantację. Atak ZMP-owców-uczestników narady starym, wąsko rozumianemu doświadczeniu gospodarstwu przeciwstawili nowe spojrzenie polityczne — spojrzenie na każdą gałąź produkcji z punktu widzenia losu spółdzielni, jako całości socjalistycznej.

Oto jedna z możliwości młodzieży. W mniejszym stopniu obciążo-

jako najcenniejszego naszego skarbu”.

Krystyna z gazetką w ręku udała się do majstra do kantoru.

— Co mnie tu pani będzie agitować? — rozłożył się Stapiński. — Na przedziałni trzeba pracować, a nie agitować!

Wreszcie za trzecim razem „wujaszek” powiedział wręcz: — Niech pani pilnuje maszyny. To sprawa majstra, panie święty, a nie przadki. Nikt, zresztą, na to nie porządzi. Chyba, żeby przy każdej postawie strażnika.

Krystyna zwróciła się do sekretarza, który interweniował u kierownika Przedziałni, i od tego czasu zaczęła się otwarta wojna pomiędzy majstrzem a przadką. „Wujaszek” miał na razie przewagę, gdyż walczył nieojajnie i obmawiał Krystynę przed ludźmi i swoimi „lalkami”, czyli protegowanymi, nazywając ją szpiclem.

Toteż gdy Krystyna przeszła na obsługę dwóch i pół obrączniaków, czyli pięciu stron, „lalki” z piękną Melą i „wujaszkiem” na czele wróżyły jej kłeskę i z mściwą uciechą obserwowały jej wysiłki. Reszta załogi przyglądała się próbom Budzińskiej z życzliwą wesołością, przekonane jednak o nieuchronnej porażce.

Przed przejściem z obsługi trzech stron na pięć Krystyna złożyła wobec Egzekutywy przyrzeczenie, że będzie dokładniej niż dotąd czyściła maszynę, że doloży starań, aby nie

— Dokończenie na str. 7)

JAN DANECKI

O MOŻLIWOŚCIACH MŁODZIEŻY

w spółdzielniach produkcyjnych

ZAGADNIENIE młodzieży w spółdzielniach produkcyjnych zasługuje na specjalną uwagę.

Jeżeli bowiem praca nad umocnieniem i rozwojem spółdzielni jest w ogóle rzeczą nietatową, to dla młodzieży ma ona jeszcze dodatkowe trudności.

Młodzieży brak — po pierwsze — tego doświadczenia produkcyjnego,



Foto CAF

jakie posiadają ich ojcowie i matki, zazwyczaj 20 — 30 lat gospodarującej już na roli.

Po drugie — młodzież musi wciąż jeszcze przelamywać starą, a głęboko zakorzoną na wsi tradycję, w której szacunek i autorytet „należy się dopiero starym gospodarom”.

Po trzecie wreszcie, młodzież, która wchodzi do spółdzielni poprzez swych rodziców (jako część składowa rodziny), lub dopiero dorasta w spółdzielni, staje przed pytaniem: pozostać, czy wyjść ze wsi? Dla starszego pokolenia, które zdecydowało się na życie w spółdzielni, problem taki w praktyce nie istnieje. Zapuściło ono już głębokie korzenie wioletoletniej pracy na wsi i teraz swoje wiejskie życie ulepsza na miejscu, jednocząc je z życiem robotników w socjalistycznej organizacji i technice pracy. Młodzież natomiast nie ma wyboru: wiesz — miasto? I ta sytuacja nierazko umniejsza jej pełną aktywność i oddanie dla pracy w spółdzielni. Niezdecydowanie — oto trzecia trudność na drodze młodzieży.

Lecz równocześnie — właśnie dlatego, że jest to młodzież — posiada ona przecież i pewne szczególne możliwości, dzięki którym dorównać może pokoleniu swych ojców. Jakież to są możliwości? W jaki sposób mogą one pomóc młodzieży w przewyżczeniu wymienionych trudności?

Na te, tak ważne, pytania garść ciekawych odpowiedzi dała narada aktywność młodzieżowa ze spółdzielni produkcyjnych, zwołana niedawno przez Zarząd Główny Związku Młodzieży Polskiej.

*

Co jest najważniejszą sprawą w spółdzielni? Niewątpliwie umiejętność gospodarowania. Kto góruje w tej sztuce? Starzy — nie młodzież. Ale... sięgnijmy do przykładów.

W dyskusji omawiano taki wypadek. W którejś spółdzielni zarząd — nie mogąc dać sobie rady z kontrolą — podzielił plantację buraków cukrowych na 13-to-arowe działki i każdą z nich przydzielił jednemu spółdzielcy do indywidualnej obróbki.

Takie „rozwiązanie” zaatakowali ostro uczestnicy narady. Krytyka uderzyła w samo sedno sprawy: rozdzielenie plantacji oznacza krok w tył, przywraca ono bowiem tradycję indywidualnego gospodarowania. Buraki ujęte w dużą plantację powinny być w spółdzielni tak być — przewidując — uprawiane (odstępny), aby dały się do ich pielęgnacji zastosować maszynowe opelacze, a przy zbiorze — ogławiać.

Oto perspektywa, jaką daje spółdzielnia: duża produkcja, wyższa agrotechnika, umaszynowanie i zespolenie — specjalistyczne — wykorzystanie pracowników.

Niefortunne posunięcie zarządu zdumchnęło wszystkie cztery warunki, charakteryzujące gospodarkę spółdzielczą i rozstrzygające o jej prawidłowym rozwoju.

W dyskusji ani razu nie padło słowo: praktyka „starego gospodarza”. Ale przecież o tę praktykę cała rzecz poszła, ściślej mówiąc — o jej stronę społeczną — o to że jest ona związana z pracą na indywidualnym gospodarstwie. Bo cóż popchnęło spółdzielców do podziału plantacji? Właśnie — stare, długetnie doświadczenie na swoim. Przez 20 — 30 lat gospodarzyli w pojedynkę na drobnych kawałkach ziemi; teraz gdy w nowych warunkach zespolowej pracy natrafili na pierwsze trudności, powrócili po prostu do tamtej, wypróbowanej praktyki — rozdzielił plantację. Atak ZMP-owców-uczestników narady starym, wąsko rozumianemu doświadczeniu gospodarstwu przeciwstawili nowe spojrzenie polityczne — spojrzenie na każdą gałąź produkcji z punktu widzenia losu spółdzielni, jako całości socjalistycznej.

Oto jedna z możliwości młodzieży. W mniejszym stopniu obciążo-

na praktyką i kalkulacją rolą gospodarza indywidualnego, o wiele bardziej pociągana tym, co w spółdzielni nowe, chwyla młodzież łatwiej samą zasadę spółdzielczości produkcyjnej.

*

Wejrzymy w dzieje Emilii Wojtały ze spółdzielni w Górkach Noteckich (pow. Strzelce Kraińskie). Czegoż to nie robiła w pierwszym okresie istnienia spółdzielni! Pracowała w obozie przy krowach, przy siewach, żniwach i młóćce, przy obróbce buraków cukrowych, sianokosach, wykopkach... Dodajcie do tego jeszcze robotę na dziale przyzagrodowej, a otrzymacie tę dawną, od rana do późnego wieczoru trwającą krzątanie kobiety wiejskiej; tyle tylko, że zespolowo i że najcięższe prace wykonywały maszyny.

Ale spółdzielnia zaczęła się powoli rozbudowywać. Do dawnych trzech krów doszło jeszcze 24 i tyleż jałowizny. Zakupiono 60 sztuk trzody chlewnej. Zakontraktowano rośliny przemysłowe. Założona została ferma drobiu, obliczona na tysiąc rasowych kurcząt. Razem z tym pojawiła się konieczność racjonalnego podziału pracy.

Wojtałównie przypadła w udziale ferma. Tysiąc kurcząt! Nowoczesne urządzenia inkubacyjne! Tu już nie poradzisz pracować po staremu. Specjalizacja! Trzeba było radzić się agonomi, trzeba było wziąć do ręki broszurę i książkę fachową, trzeba było praktykować i zdobywać krok za krokiem sztukę naukowej hodowli.

W taki to sposób z dawnej dziewczyny wiejskiej — która wszystko robiła, a na niczym się gruntownie nie znała — Wojtałówna stała się wykwalifikowaną pracownicą, specjalistką w dziedzinie hodowli drobiu.

Teraz dopiero, od momentu specjalizacji — bierze się za książkę i teraz dopiero — specjalistka, od-

powiadająca za wyodrebnione ogniwo produkcji — w życie społeczne i organizacyjne wnosi cenne doświadczenia i zyskuje autorytet w spółdzielni (zostaje przewodniczącą koła ZMP).

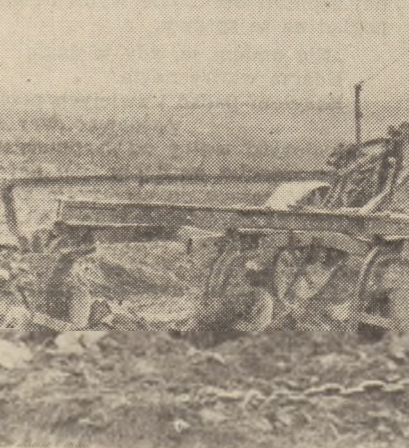


Foto CAF

powiadająca za wyodrebnione ogniwo produkcji — w życie społeczne i organizacyjne wnosi cenne doświadczenia i zyskuje autorytet w spółdzielni (zostaje przewodniczącą koła ZMP).

*

Był głos w dyskusji, który skupił na sobie szczególną uwagę — głos Albina Cichego ze spółdzielni w Kamieniu (pow. Złotów). Bo Cichy również ukazał możliwości młodzieży w zakresie samej produkcji. A jest to sprawa niezmiernie doniosła: może młodzież najlepiej orientować się i najlepiej radzić w sprawach politycznego i organizacyjnego umocnienia spółdzielni, ale jak długo nie opanuje samej sztuki uprawy roli, jak długo nie wykaże swej wartości bezpośrednio w produkcji — tak długo i tamte rady zbywane będą lekceważeniem.

Otóż w Kamieniu jest młodych chłopców i dziewcząt 16. Z tej 16-stki dwóch poszło na kurs traktorzystów. Ale reszta również intensywnie się maszynami. I zdarzyło się w ubiegłym roku przy żniwach, że niedoświadczony traktorzysta z POM-u źle nastawił żniwarke. Robota utykała. Wtedy zetempowcy z Kamienia, sprawdzili i nastawili maszynę prawidłowo. Co więcej, do każdego traktora umocowali nie po jednej, a po dwie snopowiązałki. Dzięki temu traktor wyrabiał teraz po dwie normy dziennie. Podniosło to poważnie znaczenie młodzieży w oczach starszych spółdzielców. I rzecz zrozumiała — będzie podnosić się w dalszym ciągu, w miarę jak posuwać się będzie naprzód proces mechanizacji gospodarki spółdzielczej.

To jedna droga. A druga? W Kamieniu ZMP-owcy i harczerzyli poletko doświadczały. Posadzili na nim dziesięć różnych odmian ziemniaków, kilka arów soi i sorgo. Uprawiali w myśl wskazań agronoma i fachowych książek rolniczych.

Poletko doświadczały w Kamieniu nie było duże — zaledwie 25 arów. Ale nie na wielkości polegało jego doniosłe znaczenie. Poletko — to szkoła nowatorstwa i naukowego podejścia do uprawy roli. Od poletka doszli ZMP-owcy do utworzenia młodzieżowego ognia. O to ognio biją się teraz na zarządzie: chcą wziąć pod swoją opiekę specjalną uprawę, np. 40 ha owsa, i zastosować tam w jak największym stopniu maszynową uprawę oraz wskazania wiedzy rolniczej.

Opanowanie techniki i opanowa-

nie wiedzy rolniczej — oto drogi, na jakich młodzież zdobywa w spółdzielni autorytet w zakresie techniki produkcji. To są równocześnie dwie podstawowe drogi awansu młodzieży, jej wyrastania na traktorzystów i mechaników, na agronomów i mistrzów wysokiego urodzaju — wysokokwalifikowanych specjalistów w rolnictwie.

Na naradzie zaznaczył się bardzo wyraźnie rosnący pęd młodzieży spółdzielczej do szkół rolniczych, na kursy techniczne i fachowe. Z samej tylko spółdzielni w Mrozach (pow. Elk) na kurs traktorzystów poszło 8 osób. Ze Stradunów wysłano 3 dziewczęta do liceum rolniczo-hodowlanego. Z Górek Noteckich 2 uczęszczają do liceum rachunkowości rolnej a jeden jest na kursie traktorzystów. Sporo też odpynęło do szkół pozarolniczych i do samego przemysłu.

Taki odpływ jest konieczny i zdrowy. Do niego prowadzi samo życie spółdzielni. Wielka i zmechanizowana gospodarka rolna zwalnia wszak część sił, daje więc młodzieży poważną szansę wyjścia do szkół i do przemysłu. Ale zdarzają się konkretne wypadki, kiedy już nie część, ale niemal że cała młodzież odpływa ze spółdzielni do miasta. O takich wypadkach wspominało na naradzie: tak było w Prochach (pow. Złotów), Sikorach (pow. Elk), w Brzozach (pow. Strzelce Kraińskie). Jaka przyszłość czeka takie spółdzielnie? Czy może być mowa — w podobnych warunkach — o prawidłowym rozwoju i umocnieniu spółdzielni?

Oczywiście, w takich wypadkach ostrze krytyki trzeba w pierwszym rzędzie przenieść na Powiatowe Zarządy ZMP, na niedostateczną pomoc Partii i samego zarządu spółdzielni. Młodzież, odpływając ze spółdzielni do miast, nie ucieka przecież przed socjalizmem. Ale w masowym ze spółdzielni odeszciu wyraża się niedocenianie faktu, że socjalizm rośnie nie tylko w mie-

ście, lecz także i na wsi, a zarazem tych ogromnych perspektyw, jakie otwierają dziś przed młodzieżą na samej wsi wielkie zmechanizowana i wyspecjalizowana socjalistyczne ośrodki rolne: PGR-y, POM-y i spółdzielnie produkcyjne.

Trzeba te perspektywy młodzieży ukazywać w większym stopniu niż dotąd. Trzeba ją mocniej wciągać w pracę spółdzielni, dawać jej pole do odznaczenia się i sprawdzenia. Droga, jaką wskazał Cichy na przykładzie spółdzielni z Kamienia, ostrzeże młodzież przed nadmiernym — i dlatego nie dobrego nie wrócącym odłotem.

Bardzo ciekawy jest w tym względzie przykład Emilii Wojtały. Dwa lata temu, jeszcze przed założeniem spółdzielni, Wojtałówna chciała iść do przemysłu. Była już w Szkole Przemysłobicia Przemysłowego — do powrotu zmusiła ją choroba matki. „A teraz już oczywiście nie chcę — powiedziała na naradzie — teraz zamierzam uczyć się na agronoma hodowlanego. Jesli nie będę w mojej spółdzielni, będę w mojej gminie, w przyszłości także spółdzielczej”.

W spółdzielni Stradunów (pow. Elk) przewodniczący sztykanował ojca zetempowca a jemu samemu nie wypłacał dniówek. Tenże przewodniczący wazył się nawet na pobicie kilku członków za niewykonanie poleceń.

„Ekonom” — tak oceniono owego przewodniczącego na naradzie. I w tym dyktatorstwie dopatrzone się u jego źródła — nieprzewyżczonej jeszcze wśród starych chłopów tradycji przedwojennej, indywidualnej wsi, gdzie wzorem kierownika zbiorowej produkcji był na folwarku ekonom, administrator i dziedzic.

Albin Cichy dowiódł, dlaczego u nich w Kamieniu takie sobiepaństwo byłoby ni

TADEUSZ SZEWEERA

JAK BYLI NA UKRAINIE, JAK WRÓCILI I JAK POWIAT ZDOBYLI



Rys. J. Walker

NA drogę wyprawiała go żona, sąsiedzi, przede wszystkim jednak — kulak Więciorek. Żona wręczyła mu kuferek, w którym znalazłyby wszystko co jest potrzebne w daleką drogę, a także i pół bochenka chleba (to na wszelki wypadek). Poza tym, ikając dostatecznie głośno, zawiesiła mu na szyi poświęcony medalik, by go Czesłochowska strzegła od „wszelkiego zła”. Sąsiedzi przykazali mu bacznie zwracać uwagę nawet na najdrobniejsze szczegóły, prowadzenie skrupulatnych notatek i pozeżnali go serdecznym uściskiem dłoni. Zaś kulak Więciorek odprowadził go daleko poza wieś, szepcząc do ucha następujące przykazania, które dzięki ustnej relacji owego „podróznika” — Stanisława Borkowskiego z gromady Jasionowa w powiecie sieradzkim — przekazuję i wam czytelnicy.

— Najpierw pozasłaniają wszystkie okna, byś nie mógł dojrzeć okolicę, przez które będziesz przejeżdżał.

— Potem dadzą ci okulary powiększające, a to dlatego, byś nawet najmniejszą krowę widział jak obryzma.

— Jak ci w kolchozie pokażą już wszystko, to najpierw — zanim pojedziesz do drugiego — przez jeden dzień będziesz odpoczywał. Wtedy zobaczysz kolumny samochodów. Nie daj się zwieść gadaniom, jakoby te auta przewoziły zboże. Przewiozą one bowiem wszystko to, coś oglądał przed chwilą, w drugie miejsce. I te same „cuda” pokażą ci jutro w drugim kolchozie.

— Przeto, abyś się mógł przekonać jaka jest fałszywa ich propaganda, zmierz krowie ogon, oglądając dobrze rogi i racice, zapisz sobie masę i zagładnij gadzinie do pyska. Jak jutro w drugim kolchozie taką samą krowę spotkasz, znaczący strągać lipę przed głupim polskim chłopem.

— Jak ci będą ciągnąć do domów kolchoźnicy na poczęstunek — idź, ale potem przepenetruj oborę, szopę i stodoły, bo tam zapewne zostanie schowany przed oczyma wycieczkowiczów ów kościół, z którego wszyscy jedzą razem. (Naturalnie, kiedy nie przyjeżdżają żadne wycieczki).

— Każdej kobiety pytaj się, który z kolchoźników jest jej mężem. Dowiesz się w ten sposób, że przy najmniej trzech ma ślubnych, a dwóch nieslubnych. U nich to tak, jak u Turków: jeden chłop ma cały harem babek.

— Pokażą ci także dom, który nazywa się „prytulek dla starców i kalek”. Pokażą ci go z wierzchu, do środka nie wpuszczą. Gdyby ci się udało jakoś tam zakraść, ani jednego starca w tym domu byś nie zobaczył, a to z tej racji, iż tam urzędzą się mieszczka. Taką ich opieka nad starym człowiekiem.

— Oglądaj także dokładnie maszyny, które nazywają kombajnami. Jak nie będzie przy nich piekarni wyciekającej chleba, to znaczy, że te maszyny nie są warte. U nas przecież też są maszyny żniwne bez piekarni...

— Podobnie jak z krowami, dokładnie obserwuj ludzi. Ich także, a zwłaszcza spasionych, będą wozić z jednego kolchozu do drugiego, by wam udowodnić, jak to człowiek ma się tam dobrze.

— A najlepiej, to jakbyś Borkowski — miły sąsiedzie! — nie jechał wcale, bo zaraz na granicy wsiadą was wszystkich w taki pociąg bez okien i na Sybir wywożą!... No, nie protestuj!... Zeszłoroczne wycieczki wróciły tylko dlatego, żeby więcej naszych ludzi zachęcić na obecny wyjazd. Nie inaczej, sąsiedzie!...

Być może Stanisławowi Borkowskiemu od kulackiego gadania zjeżyły się włosy na głowie i w pierwszej serce załomotał strachem. Mimo to pojechał na Ukrainę Radziecką i nie było go w rodzinnej wsi pełnych trzy tygodnie. Wystarczająco długo, by kulak Więciorek miał czas „oblecieć” wszystkie chałupy Jasionowej i z ubolewaniem zakomunikować „drogim sąsiadom” wieść niesłychaną. Pewnikiem Borkowski i cała wycieczka zadusiła się w „Metro”. Bo jak to można sto osiemdziesiąt chłopów w „Metro” zmieścić, skoro on sam Więciorek ma metr siedemdziesiąt w pasie i ledwie brzuch swój w tym obwodzie mieści. Taką to zgrozę przeprowadził Więciorek.

Atoli w równe cztery tygodnie od dnia wyjazdu do Związku Radzieckiego rozmawiałem ze Stanisławem Borkowskim tu, w Centrum ziem polskich, w Łasku pod Łodzią na wielkiej, powiatowej naradzie.

Niecodzienna była to narada. Komuś, kto przypadkiem zajrzał na salę mogło się wydawać, że to istny parlament... Byli tu bowiem jak zwani neutralni i wahalacy się,

nie wiedzący jeszcze po czyjej stronie się opowiedzieć. Chudy jak tyka średniak Ząbek, o niespokojnie rozbieganych oczkach, bez przerwy wylamujący ze stawów z trzaskiem własne, przygrube trochę palce. Dalej przysadkowany Bobrek nieustannie zwracający się do swego sąsiada z cichutkim pytaniem: „jak myślicie sąsiedzi, dobrze to będzie?” Tuż obok starszawy, świecący łysiną pięciohektarowy Zmudzik, przytakujący każdemu zdaniu, obojętnie czy było to pytanie, czy też odpowiedź. Widocznie wychodził z założenia, iż „pokorne cięły dwie matki sse!”... Takich neutralnych zliczyłoby się trzydziestu!...

Z prawej, tuż przy piecu, zasiadła zdecydowana opozycja. Tych było nieco mniej. Więciorek ze swoim pękatym brzuchem i baranią twarzą. Blżej, wcisnięta w krzesło kobieta — śmiejąca się ustawicznie bezbębennymi ustami. Ta co chwilę podrywała się z krzesła, poprawiała kraciatą chustkę, spod której wysuwał się rdzawawy kosmyk włosów i piszczała dyszkantem — „a śluby?... Śluby powiadają!” Zza krzesła tych dwójka wystawała wielka głowa kulaka Szczodrego z Szadku. Jak

być widzieć zjawiskiem niespodziewanym dla „pszczerlarza” przyzwoitego do oficjalnych powiatowych zjazdów. Tak samo niespodziewana jak fakt, że prawie wszyscy spośród trzystu jej uczestników mieli coś do powiedzenia. I chyba na żadnej z narad dotychczas nie padło tyle pytań oraz odpowiedzi w stosunkowo krótkim czasie, co właśnie w sali PRN-u w Łasku. Mówili chłopcy z Bałucza, Szadku i Buczka, Szczecowa, Chociwia i Dąbrowy Rusieckiej, Wyglizowa, Zapole... Trzeba by mieć przed sobą mapę powiatu, żeby się nie zagubić wśród tych nazw. Oj, sławny będzie ten Łask teraz nie tylko przez „Statuta”!...

Narada, czyli rozmowa między chłopami, nie trwała jeszcze godzinę, a już było pewne, że chłopcy nie mają zastrzeżeń co do organizacji produkcji w kolchozach, nie mają wątpliwości odnośnie mechanizacji. Stawało się jasne, że są raczej inne sprawy, które budziły w nich wątpliwości. Dotyczyły one nie bazy produkcyjnej, a nadbudowy, czyli człowieka. I o dziwo. Zagadnienie człowieka i sprawy jego życia

— Borkowski, owszem, wrócił opalony, dobrze też wygląda nie powiem; nawet jakby się podpał. Ale już o tych maszynach to niech tyle nie trajluje, bo tu naród uświadomiony!... — Więciorek odchrząknął chwilę i niespodziewanie zaatakował. — Lepiej opowiedz nam bracie, jak to tam jest ze starymi! Spików tu na sali mało, sami stateczni gospodarze. Warto więc w tej sprawie pogadać, żeby człowiek na przyszłość wiedział co go czeka — zakończył triumfująco, sadowiąc się z powrotem na krześle, aż zakrzypił.

— Co o tym myśleć, to ja wiem — wraz z podniesioną ręką ku górze (znak, że prosi o głos) zerwał się z miejsca, mały zażywny Smola. Wystawał ledwie za poręcz krzesła, ale głos miał donośny.

— Nie byłem w kolchozie, to prawda, ale niech tu Więciorek nie burczy, że Smola nie ma nic do gadania. Na wsi żyję i wiem jak u nas jest. A wprawier warto i o tym też powiedzieć! — I Smola opowiedział wstrząsającą historię starego Górneckiego ze wsi Gruszyce. Stary Górcki miał już siedemdziesiątka na karku, lecz na tamten świat wcale mu się nie spieszyło. Mimo to, jednego dnia pojechał z synem i synową do Wielunia. Wyjazd poprzedziły takie swary rodzinne, że cała wieś wiedziała, iż o tych 15 hektarów chodzilo, które na starego jeszcze w hipotece figurowały. W Wieluniu notariusz przepisał wszystko na syna i synowę, przy czym ta ostatnia sumitowała się i biła w piersi przed Ukrzyżowanym w kościele, iż staremu ojcu dach nad głową do śmierci zapewni. Ale ledwo wrócili do domu, synowa kazała się ojcem do komórki wyprowadzić. Przed Bogiem spokojnie sumienie miała, bo nad komórką dach był, a że dziurawy to już miała wyszła. Stary przez trzy dni mieszkał w tej komórcie, ale czwartego dnia zanie-mógł od zimna i deszczu, który się przez szpary i dziury do środka wcisnął. W jakiś tydzień później szedł Smola z przewodniczącym Rady Gminnej koło tej komórki. Zapach ich zaleciał tak okropny, że aż strach pomyśleć. Mówią o tym Górneckiej, a ta w żywe oczy skrzyczy — że pewnikiem pies zdechł. Wchodzi do środka. — I wierzcie mi... trupa starego ojca już robaki toczyły! — zakrzyknął wśród ciszy mały Smola. A potem siadając dorzucił: — Na wiosnę w tym roku to było, u kumotrów Więciorka.

Teraz znów obserwowałem Borkowskiego. Mówił wolno, rzeczowo, z miejsca odpowiadał na sypiące się z sali pytania. Opowiadał o starcach w kolchozach. — Tam o takich sprawach, jak w Gruszycach wielunińskich, nikomu się nawet nie śni. Wiadomo, że ludzie tam długo żyją.

— Ile żyją? — pada pytanie z sali. — A bo ja wiem? W jednym kolchozie to widzieliśmy dziadka 60-letniego, w drugim miał już 79 lat, w trzecim to nam pokazali 90-letniego, co jeszcze się dobrze trzymał. To prawda, że nad starymi jest opieka. Taki na ten przy-

kład dziadek Wasyl z kolchozu im. Lenina, w obwodzie miłokojewskim, liczy sobie 79 lat, ale mikt by z was tego nie powiedział o nim. Taki czerstwy i ruchliwy. Kolo swego gospodarstwa chodzi całymi dniami, bo ma swoją działkę 40-to arów, domek który mu kolchoźnicy wybudowali, chlewik gdzie chowa sobie dwa wieprzaki 200 kilogramowe, obórkę z dwiema krowami. To wszystko jest jego własność i jesz-

ki kulaczek Więciorek. Przyznacie, że sąsiedztwo nie bardzo miłe, a gwoździ to on dostawał więcej. Kobieta krzywo patrzy na mnie, powiada, żebym się mniej polityką zajmował, to i więcej gwoździ dostane. Raz przyjechało do mnie dwóch literatów, to ich nawet w domu przyjąć nie mogłem, bo tacy to zaraz o polityce. A już jak zaczęli mówić o spółdzielniach i podkreślać, że sojusznik, to znaczy śred-



Rys. J. Walker

cze otrzymuje od kolchozu procenty na życie. A pracować już nie musi, bo tylko do 60 lat jest to obowiązkowe. Ale, że ten mój dziadek Wasyl „chyttry” jest na robotę, więc w sezonie jeszcze owce strzyże i ma za to osobno płacone. A wesoly staruszek z niego i co dzień „stakana” popija. Akuratnie byłem w czasie, kiedy Wasyl wrócił z jarmarku i do córek poszedł z prezentami. Te córki mieszkają w tym samym kolchozie tylko przy innej ulicy!...

Nie dali Borkowskiemu dociągnąć do końca opowieści o dziadku Wasylu. Zajdelkowa już piszczała na całą salę... — A śluby! Jak tam śluby, powiadasz, że ma córki, więc musiał by wydatować! — Zajdelkowa wymachiwała przy tym rękoma tak energicznie, że siedzący obok niej kulacy: Więciorek i Szczodry natychmiast przyłożyli głowy do kolan i trwali tak w bezruchu, aż kulaczka skończyła. Mimo to dostali parę razy solidnie.

Na to wstał Balbusik, ten z rozwiechzoną czupryną i uprzedzając Borkowskiego z Jasionnej, opowiedział, jak to go w rodzinnym Wyglizowie zenili. — Mam piękne oczy — powiada. — Kobiety mojej na sali nie ma, to można powiedzieć, że się tymi oczyma przyzenił do 6 hektarów. I tak jakoś było niezgorzej. Tak to już jest, że chłop musi stać coś w gospodarce przybić i potrzebując gwoździ. No to się szło do Samopomocy, stawało w koleje, lecz zaraz za mną stał ta-

niak, powinien iść do niej, moja kobieta zebrała wszystkie worki, zeszyła z nich jeden i powiada: „włóż sobie w ten worek wszystko, co twoje, to jest powietrze i idź do tego kolektiwu z tym, bo reszta to moje”. I ja się pytam, gdzie własność? Ma kobietę na własność i tyle, że człowiek za parobka się został! — Balbusik opowiedział jeszcze — dziękuję — i usiadł wśród narastającego na sali gwaru. Dopiero, jak mówił Borkowski, uciszyło się trochę.

— Dziadek Wasyl powydawał swoje córki według zwyczaju kolchozowego. Były swaty, a każda, tylko nie przepijała za każdą morgę ziemi i każdą gadzinę. Ani dziewczyna, ani chłopak, żadnego wiana od ojców nie dostawali. Tak, jak mówię sprawiedliwie, tylko weselisko odbywało się w domu dziadka Wasyla. Szanują oni tam ludowe obrządki weselne, śpiewają ludowe pieśni i w ludowych strojach chodzą. Po takim weselisku cały kolchoz wprowadzał młodą parę do nowego domu, wybudowanego specjalnie dla nich siłami wspólnymi. Takie młode małżeństwo niczego nie musi kupować. Wszystko im w prezentach dadzą sąsiedzi. I sprząty domowe, i łożka, posćciel, nawet kwiaty i zapasy żywności. To wszystko dostają obydwoje na własność. Oj, szczęśliwi są tam w kolchozach starzy ojcowie, bo i dzieci ich szanują, o morgi się nie handrzą i po sąsiedzku dobrze żyją!...

— A już o tych sąsiedzkich dobrociach to Borkowski nie mówił — huknął Łasem Szczodry. — Idealni tam ludzie, ho, ho! — dodał z przekąsem pewny swego sukcesu, ale zaraz się musiał oganać od pytań, atakujących go ze wszystkich stron. Wiadomo bowiem, jaki ze Szczodrego sąsiad. Już mu tak to Wrona wygarnął, że bogaczowi w pięty poszło. Dobrze się Wronie i innym małorolnym kulakom dać we znaki sąsiad. Jak nie o plot, to o granicę się kłóci, któregoś dnia nawet na Wronę z kłonicą wyskoczył, bo mu ponoć plugiem zjechał kawałek miedzy. I Wrona powiada, że jak we wsi będą dzielili, to i sąsiedzi będą dobrze żyli ze sobą. A kulak wtedy nie będzie miał siły przeciw kolektywowi występować. Już w Szadku jest początek spółdzielni Szymonik, Owczarek, Antosik dawniej spierali się ze sobą o byle co, zadróżdli sobie każdego kupionego prosiaka. A teraz to i miedze między nich sporów nie wnoszą, zgodni są i o wszystkie sprawy razem zabiegają!...

— Tak jest w kolchozach — podjął Borkowski. — Tak żyją dobrze ze sobą, że jak na ten przykład — długo istnieje kolchoz „Czerwona Baszanka”, ludzie nie pamiętają żadnych swarów. I wszyscy mają na względzie wspólne dobro.

— Powiadasz, że tylko wspólnota może zgodę zaprowadzić między ludźmi? — podniósł się wrzask obopieczni. — A najwięcej to krzywał Więciorek. — Mądryś Borkowski, mądryś, ale w spółdzielni to nie prędko będzie. Zapomniałeś rozmowę ze mną?

Borkowski dobrze jednak pamiętał przykazania kulackie Więciorka. „Ezraz wyprostał się, oparł rozczapierzone dłonie o odkryty czerwonym sukmem stół i rabnął taką mowę, że Więciorek zamilkł. Tylko rozdziana szeroko gęba świadczyła o jego wielkim zdumieniu. Borkowski zaś kończył: — Wiedzie Więciorek, że w naszej Jasionnej jest już Komitet Załozycielski. I ja do niego należę. A spółdzielnia będzie nie długo!...

Więciorek w tym momencie zwalił się z hałasem na krzesło i chwiał się na nim niby papuga uceplona do skrzypiacej katarynki. Do końca narady nie już nie rzekł. Nie miał co i po co. W sprawie człowieka przegrał!...



Rys. J. Walker

tylko któryś z chłopów zabierał głos. Szczodry szturchał w bok siedzącą przed nim kobietę i wołał basem: „Zajdelkowa... jeszcze raz z tymi ślubami! No, dajcież!”

Wreszcie z lewej strony sali zasiadła większość, mająca w zanadrzu stos argumentów przeciw opozycji. Zadzierzasty Wrona w kraciatą bluzy, potrzebujący notatnikiem agitatora, trzymogowiec Pecek, dziadek Mateusiak, którego przed tradycyjnym „wycugiem” obroniła spółdzielnia produkcyjna, Balbusik z rozwiechzoną czupryną, Smola — chłop mały, ledwie wystający ponad poręcz krzesła!...

Czy więc można się było dziwić, że w sali wrzało, skoro tacy chłopcy brali w niej udział? Narada mogła

osobistego i społecznego, wyciągnęła na wierzch opozycję. Maszyn i produkcji wrogowie woleli nie tykać; tu z góry byli przygotowani na klęskę. Zaczepili więc o człowieka, bo nuż taki Borkowski tym sprawom dobrze się nie przyglądał? I cała „lewa strona” wraz ze Stanisławem Borkowskim wkopie się, że aż miło!

A zaczęło się wszystko od Więciorka. Słuchając wywodów Borkowskiego na temat maszyn, wiercił się niespokojnie, wreszcie wstał zamaszycie z krzesła. Zawadził przy tym brzuchem o krzesło sąsiada, że aż sala zatrząsa się od śmiechu. On tylko lypnął okiem z ukosa na Borkowskiego siedzącego przy stole prezdyjalnym, potem ogarnął spojrzeniem salę i zagaił:

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

O zwycięstwo opowiadania

OSTATNIO prasa radziecka („Literaturnaja Gazieta”, „Nowyj Mir”, „Ogoniok”) podjęła kampanię, mającą na celu walkę o pełniejszy rozwój opowiadania jako gatunku literackiego, zdolnego w szybkim czasie w krótkiej formie do uchwycenia najciekawszych i najbardziej pouczających oraz typowych przejawów życia.

„Literaturnaja Gazieta” słusznie zwraca uwagę na to, że opowiadanie otwiera drogę do literatury nowym siłom literackim, „niezawodowym” kronikarom i komentatorom rzeczywistości. Albowiem ta mała forma zanim uzyska oprawę wysokiego gatunku i utrwala ona zostanie w historii literatury przez pióra najwybitniejszych pisarzy, w pierwszym stadium swoich narodzin powstaje „wśród ludzi”. Opowiadają milioniowi czytelnicy, uczestnicy wielkich wydarzeń historycznych, ich twórcy, współubodowiciele życia. Z masy narratorów wiele talentów ginie, ale też wielu z nich dostaje się do gazet, do tygodników, do periodyków prowincjonalnych i na łamach prasy rozpoczyna swoją działalność. Krótko mówiąc, idzie tu o opowiadanie ludowe, pisane piórem „niezawodowym”.

wzmacnia się przez przyplwy nowych sił o wzory nowych przeżyć i uczuć ludu, w sumie — otrzymuje bodziec do wzbogacenia i podnoszenia na wyższy poziom sztuki narracji.

Troska o rozwój opowiadania podjętowa została przez niedawne niepokojące objawy w tym zakresie. Jak wiadomo w postępowej literaturze rosyjskiej opowiadanie zajmującą przedmiejsce. Początek przy artystycznej w Rosji zbiega się z narodzinami młodej formy — Niewielki, niekiedy parostanowy utwór pod ręką Puszkina, Gogola, Lermontowa, Turgeniewa, Lwa Tolstoja, Saltykowa - Szczedrina, Głęba - Uspieńskiego, Czechowa, Korolenki, Gorkiego zamienia się w arcydzieło sztuki narracji i wiedzy w człowieku. Literatura radziecka, dziedzącą najlepsze postępowe wartości przeszłości i w zakresie opowiadania potrafiła znakomicie użytkować minione doświadczenia. Po Rewolucji Październikowej twórcy opowiadań opanowali wysoki sztuki narracji i co najważniejsze ukazywali lud jako bohatera w walce o nowy ustrój sprawiedliwości społecznej. Literatura radziecka liczy dziesiątki tomów opowiadań. Bogactwo nowej tematyki urozmaiciło takie formy narracji i pozwoliło pisarzom ukazać w pełni kraj radziecki i radzieckiego człowieka. Gorki (Opowiadania o bohaterach), Bażow, Konstanty Fiedin, Priszwin, Malyszkin, Laszko, Gajdar, Dzikowski, Pawlenko, Tichonow, Sobolew, Kożewnikow i Paustowski — oto, bynajmniej jeszcze nie wszyscy, mistrzowie radzieckiego opowiadania.

„Opowiadania Iwana Sudarewa” — Aleksiego Tolstoja i cykl narratorski Leonida Sokolewa pt. „Morska dusza”.

Ala po wojnie opowiadanie nie utrzymało swojej wysokiej pozycji. Nie brakowało w dalszym ciągu zainteresowanych czytelników, ale degradacja opowiadania nastąpiła w samym środowisku twórczym i w redakcjach czasopism. Pisarze chętnie sięgali po inne gatunki literackie. „Wytworzyła się dziwna sytuacja — zauważa „Literaturnaja Gazieta” z dnia 15 maja br. — kiedy miesięczniki prawie zupełnie przestały publikować opowiadania, krytyka zapomniała o istnieniu tego gatunku literackiego, liczne zbiory tekstów estradowych i programy radiowe zamiennie pełnowartościowe opowiadanie na fragmenty z powieści. Radzieckie społeczeństwo zaniekowało się o losy ważnego rodzaju literackiego”.

Krytyka radziecka przestrzega przed niedocenianiem opowiadania, przed próbami pomniejszenia roli, jaką opowiadanie ma do spełnienia. Dają się słyszeć błędne sądy, jakoby gatunek młodej formy musiał być nacechowany „małą” treścią, co wyrażałoby się w fragmentaryzacji fabuły i w unikaniu bohatera o wielkim formacie. „Sens takiego rozumowania — zauważa krytycznie „Literaturnaja Gazieta” — zasada się na mniemaniu, że wszystko to, co z racji swej małej wagi nie może stać się materiałem albo fabułą powieści zagarnia „w swoje sieci” opowiadanie”. Jest to niestuszny i szkodliwy sąd. Ale skoro istnieje taka „koncepcja” i oddziaływa na prozatora, wynikiem fatalnego zaobowiazania musi być obniżenie poziomu i pewna jednostajność opowiadania, którą dalo się niedawno zauważyć. Tymczasem opowiadanie to nie fragment obrazu, ale cały obraz. Zasługuje na uwagę pisarza i uznanie czytelnika jako pełnowartościowego gatunku sztuki. „Orzuciście — stwierdza „Literaturnaja Gazieta” — należy brać pod uwagę specyficzną tego rodzaju literackiego, nie można za-

Kronika radziecka

dać od opowiadania całej pełni motywacji, zrozumiałej w utworach wielkiego formatu, nie można przedłowywać narracji zbydnymi szczegółami... Konstanty Fiedin zauważył: opowiadanie jest jak pokój, który nie może być przedłudny. Opowiadanie zmusza twórcę do szczególnego wysiłku, każde umieścić maksimum treści w krótkiej formie. Stąd rodzi się wylnaczność opisu, charakterystyki postaci, celność i zwięzłość dialogu.

Praca nad opowiadaniem stanowiła zawsze szkołę mistrzostwa literackiego. Na znaczenie opowiadania dla warsztatu pisarskiego wskazywał przed laty Gorki, niestrudzony nauczyciel i wychowawca młodych kadr pisarskich. Radził początkującemu pisarzowi: „Od opowiadania należy żądać dokładnego przedstawienia miejsca akcji, żywości występujących postaci, ścisłości i barwności języka. Opowiadanie powinno być napisane tak, żeby czytelnik widział wszystko, o czym opowiada autor”. Wypaszone w wysoki sztuki artystycznej, uzbrojone w bojową, bolszewicką ideowość opowiadanie radzieckie stanowi celną broń w walce z fałszywem. Także we własnym, radzieckim społeczeństwie odgrywa olbrzymią rolę wychowawczą.

Dyskusja na temat opowiadania w Związku Radzieckim pomogła usunąć wątpliwości i braki oraz dźwignęła ten rodzaj literacki na wyższy poziom. W zeszłym roku wyszło około 20 zbiorów opowiadań. Miesięcznik „Nowyj Mir” zaczął publikację opowiadań w każdym prawie numerze, „Ogoniok” przeprowadził masowy konkurs na opowiadanie, który pozwolił odnaleźć nowe talenty. Państwo wydawnictwo literackie (Gostizdat) opublikowało trzytomowy wybór najlepszych opowiadań radzieckich. Wreszcie opowiadanie zainteresowały się żywe masowe dzienniki. Zaplanowany został na jesieni zjazd pisarzy, poświęcony zagadnieniom młodej formy prozatorskiej.

Grzegorz Timofiejew

Coż daje taka kampania? Propaguje, podnosi dany gatunek literacki „od dołu” — wprowadza do literatury świeży surowiec, a niekiedy i skończony, dojrzały dzieło twórcze. Literatura — zawodowa

Tadeusz Szewera

JAN ZYGMUNT JAKUBOWSKI

W 50 rocznicę śmierci A. Dygasńskiego (II*)

POSTRONIE WYZYSKIWIANYCH

III.

DYGASIŃSKI na początku lat osiemdziesiątych bronił jeszcze gorąco programu pozytywistycznego. Bronił go bodaj najdłużej ze wszystkich znanych pisarzy mieszczańskich. Szczególnie ostro atakuje klerykalizm i demaskuje kosmopolityzm konserwatywów i klerykałów i ich pretensje do reprezentowania patriotycznych dążeń narodu. Na początku lat osiemdziesiątych jest Dygasński jednym z najzarliwszych i najszczerszych obrońców postępu świeckiej oświaty, podkreśla laicki charakter rzetelnej nauki w okresie, kiedy w wielu pozytywistów występują objawy „znużenia” postępowania. Szczególnie gorąco, odważnie i najdłużej broni Dygasński materialistycznych koncepcji w naukach przyrodniczych.

W latach 1886 — 1887 obserwujemy w wystąpieniach publicznych Dygasńskiego wyraźne przemiany ideologiczne. Znajduje to wyraz m. in. w związku się z piarzą z grupą „Głosu”. W artykułach Dygasńskiego z tych lat odzyskujemy ostre rozczarowanie do całej ideologii pozytywistycznej. Co więcej, pisarz potępia praktykę społeczną i odslania wyraźnie klasowy sens hasła pracy organicznej („...Kto doszedł do dobrobytu?... — pisał w roku 1886 — ... przemysłowcy bogacili się u nas zawsze, no i używali bogactw tak samo przed programem pracy organicznej jak i obecnie...”). Jednocześnie w ideologii Dygasńskiego zwyciężają tendencje antycywilizacyjne i antyurbanistyczne. Zjawia się pochwała „swojskości”, apoteoza prymitywu i pierwotności chłopskiej. („Chłop jest mędrzy od inteligenta, ponieważ w każdej chwili ma na oku byt i jego podstawy: on pracuje a niczego się nie żręka, co jest jego”).

IV.

Około roku 1887 należy postawić również zasadniczą cenzurę w rozwoju ideologicznym i artystycznym działalności beletryzycznej Dygasńskiego. Pisarz rozpoczął ją późno, dopiero około 1883 roku ukazują się jego nowele o tematyce wiejskiej. I one przede wszystkim wypełniły pierwszy okres jego działalności pisarskiej.

Wczesne opowiadania Dygasńskiego demaskują przede wszystkim przetrzki feudalne. Ze szczególną uwagą i pasją piętnował pi-

sarz podłość, egoizm, kosmopolityzm i potworności obyczajowe w życiu obszarńcwa. („Na pańskim dworze”, „Świat i ślepa dziewczynka” i in.). One bowiem były najbardziej dostępne jego obserwacji i doświadczeniom społecznym. W obserwacjach tych mieszczaństwo również często podkreślana przez Dygasńskiego służebna rola plebanii wobec obszarńcwa. I właśnie w obrazach dworu i plebanii ukazał pisarz największą wnikliwość i krytycyzm.

Demaskowanie nadużyć i przetrzków feudalnych dworu obszarńczego pełniło wówczas niewątpliwie rolę postępową. Upadającemu i utraczającemu dworowi została programowo przeciwstawiona pracowita i zapobiegliwa wieś. Twardy, wytrwały chłop wystąpił jako jaskrawe przeciwstawienie biologicznego wyczerpania arystokracji. W tym przeciwstawieniu — chłopka, tężna i wyczerpanie szlacheckie — na plan dalszy została jednak usunięta sprawa klasowego złoćnicowania wsi. Wystąpiły natomiast naturalistyczne koncepcje tłumaczenia praw kierujących życiem społecznym. W świecie ludzkim jak w świecie zwierzęcym panują w istocie te same prawa, bezgłębna walka o byt.

Ten „materializm przyrodniczy” (według określenia Marksa) nie pozwalał na ukazanie specyfiki praw rządzących życiem społecznym, lekceważył bowiem uwarunkowania społeczne losów ludzkich. „Wielkie prawa przyrody — pisze Dygasński w opowiadaniu pt. On i Psyche — wypiętnowały się w umyśle i sercu człowieka, a obok nich, podrzędnie tylko, istnieją tylko znkome, drobne i zmienne prawa społeczne”.

„Materializm przyrodniczy” Dygasńskiego widoczny jest szczególnie w cyklu opowiadań będących swoistą polską odmianą powieściowego cyklu Zoli pt. *Rougon Macquart* — *Na pańskim dworze*, *Von Molken*, *Głód i miłość*, *Na warszawskim bruku*. Występuje on jaskrawo i w opowiadaniach, w których pisarz przeprowadza paralię między życiem zwierząt i ludzi (*Co się dzieje w gniazdach*, *Wilki, psy i ludzie*). Manifestuje go zresztą Dygasński w czystym, prosto natrętnym komentarzu odautorskim, jaki spotykamy w każdym niemal utworze.

Mimo naturalistycznych uogólnień pierwsze opowiadania Dygasńskiego posiadają wiele wartości realistycznych w demaskowaniu za-

cofania feudalnego. Ukazywał pisarz rzeczywiście, społeczne przyczyny nędzy i poniżenia komorników, służby folwarcznej (np. *Za krowę*, *Wilki, psy i ludzie*). W Formie na pół żartobliwej uwagi spozstrzegał przeciw Dygasński, sam często dekladowany, analogię między losem inteligenta pracującego a losem wiejskiego proletariusa.



Mal. Józef Chelmoński

„Mój sprawiedliwy obywatel ze Skowrona nie miał nawet własnej chałupy: był to bowiem komornik podobny nieco do mnie, posiadał podobnie jak ja, żonę i dzieci, pracował, jak ja — chociaż nie w zawodzie literackim”.

Około roku 1887 — jak wspominaliśmy — występuje w piarstwie Dygasńskiego istotne przemiany ideologiczne. Widzieliśmy je szczególnie jaskrawo w publicystyce piarza, w zwycięstwie tendencji ludomani. Wystąpią one w pierwszej jego powieści „Właściciele” (1887), w której Dygasński podejmuje po raz pierwszy w obszerniejszej konstrukcji artystycznej próbę ukazania pozytywnego bohatera historii. Powieść zawiera wiele trafnych, realistycznych spostrzeżeń na temat życia wsi w Królestwie w latach osiemdziesiątych. Przedstawia np. trafnie proces parcelacji ziemi szlacheckiej, wyrażenia kulaka, niedole służby folwarcznej. „Właściciele” świadczą jednak zarazem o narastaniu tendencji ludomani. Szymon Dziura, pozytywny bohater powieści, przypomina już „dostojnego kmie-

cia” (ukazanego w powieści — dla uwiarygodnienia tej postaci wobec czytelnika — w świecie konkretnych realiów życia wiejskiego), o którym pisali patetycznie Dygasński i ideologowie „Głosu”. Wyraźnie wystąpi ten bohater w powieści „W Swojej, czyli żywot pracowitego ułocianina” (1899). Jest to szczególnie jaskrawy przykład fałszy-

wątpliwie — jak cała ideologia ludomani i *Głosu* Popławskiego — sprawie sojuszu burżuazji z wiejskim bogactwem. Kiedy zestawimy tę obiektywną funkcję piarstwa Dygasńskiego z jego żarliwym, szczerym protestem przeciw praktyce życiowej obszarńcwa i burżuazji (tak widocznym nie tylko w jego listach, lecz i w wielu opowiadaniach i powieściach — choćby np. *Dni i noce w kantorze* lub *Goźalka*), to zobaczymy jeden z najbardziej jaskrawych przykładów błędów ideologicznych polskiej inteligencji u schyłku XIX wieku. Dygasński, w latach siedemdziesiątych gorący bojownik z przetrzkiem feudalizmu, u schyłku lat osiemdziesiątych gorzko rozczarowany do burżuazyjnego postępu, nie dostrzegał historycznej roli proletariatu. W utworach z życia Warszawy widzimy raczej ludzi marginesu społecznego, „wysadzonych z siodła” i mety wielkomiejskie. W tej sytuacji rzeczywista krytyka ustrojowa zastąpiły wypady antyurbanistyczne i krytyka obyczajowa.

Fałszywe, naturalistyczne uproszczenia życia społecznego nie potrafiły jednak i w latach dziewięćdziesiątych zniszczyć realistycznych wartości utworów Dygasńskiego. Jest w nich gorąco odczuwana niedola społeczna. Odczytujemy ją we wzruszających losach biedoty wiejskiej, w szczególności służby folwarcznej. Znajdziemy ją m. in. i w przedostatniej książce piarza, w historii o *Margiele* i *Margielce* (rok 1901). Wyzyskiwana i poniżana komornica wiejska Margiela znajduje po wielu perypetiach życiowych pracę we dworze. Zostaje pomywaczką, a jej córka służącą „paniusi”. „Laska boska nad wami jak najwyraźniej świeci” — tak oznajmia jedna z kobiet „dobrą nowinę” — zamretretowane Margielce. Dygasński w zakończeniu powieści ukazuje jednak rzeczywistość niepewności losów bi-dnej komornicy: „Musimy to dodać, że we dworze zmieniano teraz co miesiąc pomywaczkę i służącą paniusi”. Nawet w powieści apoteozującej wiejską burżuazję (*W Swojej*) jedną z najbardziej pamiętnych scen jest opis niedoli wiejskiej biedoty i ich mieszkań, gdzie ludzie „wiedli i gnuśnili w okropnym zaduchu, wilgoci, stęchłźnie”. W tym ostatnim okresie powstaje również znana, najlepsza powieść Dygasńskiego, *Zajac*, realistyczny obraz folwarku, ukazujący w trafnie zaobserwowanych i pełnych humoru scenach „świątek oficjalistów dworskich, demasku-

jących obłudę moralności utrwalanej przez klasy panujące.

V.

W roku 1887, w okresie narastającego rozczarowywania do kapitalistycznego postępu, tak ujął Dygasński sens historii (*W niewoli u człowieka*)... „wyzysk jednych, ażeby drugim było lepiej. Dotychczasowe dzieje świata nic innego nie przedstawiają”. Mimo wszystkich błędów ideologicznych był Dygasński — sam wyzyskiwany — niewątpliwie po stronie wyzyskiwanych. Elementy rzetelnego humanitaryzmu zapewniali wielo stronicom jego utworów trwałą pamięć i u nas współczesnego czytelnika.

Trzeba jednak tych stroniec cierpliwie szukać. Wartość piarstwa Dygasńskiego jest nierówna zarówno pod względem ideologicznym jak artystycznym. Dygasński pisał w pośpiechu „pod ołowianej litery urzędem” („...piszę za przedko „dniówkę” — stwierdzał w liście do córki — to zabija robotę. Cóż począć, kiedy i tak trzeba. Szczęśliwy jestem ad nadto, jeżeli mogę wydołać i napisać tyle, ile się daje sprzedać”). Dlatego niejednokrotnie twory jego robią wrażenie brulionu, nietrudno w nich dostrzec dłuźny i powtórzenia.

Mimo tych wszystkich słabości ideologicznych i artystycznych powieści i nowele Dygasńskiego mówią nam wiele realistycznej prawdy o życiu różnych kręgów społecznym, a przede wszystkim o życiu podstawowych mas narodu, biedoty wiejskiej. Spotykamy w nich żywe i świeże obserwacje życia przyrody. Dygasński opisywał niejednokrotnie typowe elementy polskiego krajobrazu, szczególnie ukochanego Poniżnia. Są to opisy nasycone głębokim liryzmem i zarazem realistyczne, bo ukazujące człowieka i jego pracę nad przetrzaniem przyrody. Zarówno w ukazaniu losów ludzkich jak i w opisie przyrody postępowal się pisarz językiem prostym, wziętym — powtórzymy tu słowa Zeromskiego o wielkim klasyku polskiej prozy Sienkiewiczu — z pospolitego języka, z mowy codziennej szlachty i mieszczan i chłopstwa”.

Wbrew utrwalonemu opinii o Dygasńskim — naturalistycznie mamy prawo zaliczyć najcenniejszą — i cwałe niemalą — część jego spuścizny do tradycji realizmu krytycznego, do żywych stroniec literatury narodowej.

Jan Zygmunt Jakubowski

*) Patrz „Więść” Nr 25.

JAN LUBIŃSKI

Z ZAPISKÓW NAUCZYCIELA WIEJSKIEGO

GDYBY mnie ktoś spytał — kim w pierwszym rzędzie jestem: nauczycielem czy działaczem politycznym — nie łatwo było by mi dać na to pytanie odpowiedź. Te dwie funkcje spłoty się w mym życiu tak nierozdzielnie, że oddzielić je dziś nie potrafię. Myślę, że słusnie będzie powiedzieć tak: bez jednego nie byłbym drugim. Bez spóldzielni produkcyjnej we wsi Zboże trudno było by zwyciężyć przodującą w powiecie szkoła, z drugiej jednak strony twarda walka nauczycieli i aktywny gminny doprowadziła do socjalistycznej organizacji pracy na naszej tak niedawno, tak jeszcze, zacofoanej i zniszczonej wsi.

A oto jej dzieje, być może najwyklesze w świecie, a jednak przeciw pełne bohaterstwa i walki.

Droga nam wszystkim wieś Zboże leży w powiecie sepolińskim (woj. bydgoskie), wzdłuż szosy prowadzącej z Nakiła do Chojnic. Tę malowniczą okolicę zamieszkiwali w zdecydowanej większości kulacy-Niemcy, którzy porzucili na pastwę losu gospodarstwa, uchodząc przed zwycięską Armią Czerwoną. Przejechało tędy niemal czołgów, wiele pocisków zryło nasze pola. Płonęło zboże w stogach podpalone przez hitlerowców, wyginął żywy inwentarz.

O możliwościach młodzieży

(Dokończenie ze str. 4)

autorytetu. Tak rzecz wyłożył młodzieźowiec — czerpiąc swą ocenę z doświadczeń organizacyjnych Partii i jej pomocnika ZMP. Nawet na wsiach indywidualnych młodzieży w kole ZMP uczy się i wdraża do życia zespołowego, w którym podział funkcji, zadań i odpowiedzialności przygotowuje ją już do nowego życia gromady, opartego na innych stosunkach społecznych — niekapitalistycznych.

W spóldzielni produkcyjnej ta tradycja zetepmowskiej organizacji nakłada się na zmienione u podstaw stosunki społeczne w gromadzie i dopomaga w ich utrwaleniu i rozwinięciu. Młodzież ZMP-owska, wprawiając się w Kole do zespołowego działania i zespołowej odpowiedzialności, cenić sobie wino bardzo wysoko prawa do współgospodarowania spóldzielnią. Jej walka o praworządność spóldzielni, o prawo głosu, krytyki i inicjatywy może wydostać wespęć starych chłopów w ich walce o to, co wraz ze zmianą sposobu gospodarowania zmieniać ma samo życie gromady — o nową treść i organizację stosunków społecznych na wsi.

Jan Danecki

Pamiętam 1-szy czerwca 1945 roku. Śpisywaliśmy istniejący we wsi dobytek: 5 koni, kilkanaście krow, kilka siewników, żadnych prawie innych maszyn rolniczych na 882 ha. Nadciągali nowi mieszkańcy Zboża — przeważnie małorolni z Kielecczyny, repatrianci z Wołynia, powrócili trochę chłopów miejscowych, wywiezionych do Niemiec. Cała ta mała „wieś Babel” nie mogła się początkowo w żaden sposób ze sobą pogodzić. W Gminnej Radzie wodzili rej najczęściej „świątokrzyżacy”, głosowali tylko za swoimi interesami. Stworzyła się przeciw nim koalicja Wołyniaków z miejscowymi. Stąd też biedota kielecka pozbawiona była wszelkich kredytów. Wieś przedstawiała przez długi czas obraz godny pożałowania. Obok różnic regionalnych silnie wystąpiły także i religijne. Miejscowi to częściowo protestanci, wołyniacy znowu w części greko-katolicy. Znaleźli się także i baptyści.

Długo zastanawiałem się czemu bierze górę ten domniemany „narodowościowy” i religijny interes nad klasowym?

Pochodzę z chłopskiej biedoty. urodziłem się na Pomorzu, pracowałem trochę przed wojną na Polesiu. Miałem więc — jak się zdawało — szansę na zaufanie u wszystkich we wsi. A jednak niewiele ta ogólna sympatia pomogła. Prosty przypadek dopiero dopomógł mi odnaleźć klasowe przesłanki antagonizmów we wsi.

Było to w roku 1948. Tak zwani „baptyści” skompromitowali się politycznie jako wyznawcy „amerykańskiej wiary politycznej”. Byli to zresztą katolicy, którzy uczyli się stonku do człowieka częściowo w Hitlerjugend, a praktyki odbywali w aktach terrorystycznych, kierowanych głównie przeciw najlepszym synom Partii.

Pozostał we wsi po nich okazały dom, gdzie też urządziłem jako kierownik szkoły — świetlicę. Po przedstawieniu młodzieźowemu rozeszła się po wsi plotka, że jestem bezboźnikiem, skoro w kościele wystawiam wesole sztuczki. Najbardziej ostro występowały przeciw mnie dwaj panowie — Głiszczyński — właściciel 37 ha gospodarstwa i Urbanowski — użytkownik 82 ha ziemi poniemieckiej. Wyłażło sztydo z worka. Obydaj kulacy użyli starej, wypróbowanej nieraz, broni burżuazji — usiłował mianowicie pokrzyżować klasowe interesy nacjonalistyczną przesłanką. Tak więc wołyniacy wodzili się za lby z kielecką biedotą, niekiedy zaś miejscowa w oparciu o



Foto J. K. Maciejewski

władze starościńskie sprawowała dyktaturę nad większością. Obaj panowie łożyli gruczo na poszczególnie „oboz polityczne”. Mieli zresztą z czego.

Postawiłem sprawę świetlicy o twarcie przed gromadą, wyjaśniłem, że „neobaptyści”, jacy się w tych stronach pojawili, to zwykli wrogowie Polski Ludowej. Gromada stanęła po mojej stronie. Niedawno właśnie regionalne osadki szybko zniknęły, wystąpiła natomiast wyraźna problematyka walki klasowej.

Oto rok 1949 — wiosna. Rozpoczęliśmy właśnie prace organizacyjne nad założeniem pierwszej w powiecie spóldzielni produkcyjnej. Nie chciałem być źle rozumiany, ale agitacja za wyższą, socjalistyczną organizacją produkcji stała się między innymi sprawą moich osobistych ambicji. Chciałem przodować w walce o socjalizm w naszej gminie, chodziło mi bardziej o to, by porwać swoim przykładem nauczycieli całego powiatu. W naszych bowiem stronach chłopci się liczą z opinią nauczycieli.

Nadszedł ciężki czas. Po pierwszych dwóch zebraniach nie trudno było się zorientować, że większość chłopów chętnie przejdzie na gospodarstwo kolektywne. Jednak na następnych okazało się, że liczba chętnych, mimo stosowania zbiorowej agitacji, nie tylko nie wzrasta ale wyraźnie maleje. Rozpocząłem wówczas, wykorzystując godziny pozawalacyjne, indywidualne rozmowy z chłopami. Wybiierało się raczej słotne, zadeszczone dni, kiedy ludzie przesiadywali w domach. Chodziłem od domu do domu, bywałem w słoneczny czas na najbardziej odległych

cy istotnych potrzeb gromady w tym zakresie. Skutek był taki, że wieś wszystkie wolne godziny poświęcała na dyskusje o ulepszeniu życia, co rzecz prosta, w dalszej perspektywie otwierało na powrót drogę do kolektywnej gospodarki.

W tym czasie powiatowy Komitet Partii powołał mnie do Komitetu Założycielskiego. Wysłanałem sprawę wystania delegata na wycieczkę do Związku Rad. I tu sprawę przegraliśmy. Kulakom udało się przeforsować tak zwane — „wahające się”. Tymczasem był to wróg, który po powrocie na paru odprawach, zachwycał się wprawdzie publicznie ukraińskimi kolchozami, ale potem dał nura w gospodarstwo i milczaniem oraz nieobecnością w życiu społecznym — dał powód wrogim plotkom. Nie też dziwnego, że z liczby 21 członków przyszłego kolektywu pozostało zaledwie dziesięciu. Reszta podpisała nawet deklarację, ale do spóldzielni nie wstąpiła. Uświadomiłem sobie wtedy wyraźnie, jak wielką wagę przywiązują chłopci do opinii uczestników wycieczek do Kraju Rad. Głiszczyński, który swoje dzieci trzyma w średnich szkołach i bynajmniej mu na naszej nie należy, szeroko rozpowiadał, jakich to głupich nauczycieli mamy teraz w Polsce. „Szkoły nie pilnują, kolchozy by zakładali”.

Istniejący stan pogorszył jeszcze fakt, że projektodawca spóldzielni, po odbyciu odpowiedniego kursu zawodowego, odszedł do powiatu, na stanowisko sekretarza Partii, co dało kulakom asumpt do tego rodzaju plotek: „W mieście se siedzi, do zdania ziemi was pędzi, karierę na chłopach zrobił”.

Przyszły stan pogorszył jeszcze fakt, że projektodawca spóldzielni, po odbyciu odpowiedniego kursu zawodowego, odszedł do powiatu, na stanowisko sekretarza Partii, co dało kulakom asumpt do tego rodzaju plotek: „W mieście se siedzi, do zdania ziemi was pędzi, karierę na chłopach zrobił”.

Przyszły stan pogorszył jeszcze fakt, że projektodawca spóldzielni, po odbyciu odpowiedniego kursu zawodowego, odszedł do powiatu, na stanowisko sekretarza Partii, co dało kulakom asumpt do tego rodzaju plotek: „W mieście se siedzi, do zdania ziemi was pędzi, karierę na chłopach zrobił”.

Przyszły stan pogorszył jeszcze fakt, że projektodawca spóldzielni, po odbyciu odpowiedniego kursu zawodowego, odszedł do powiatu, na stanowisko sekretarza Partii, co dało kulakom asumpt do tego rodzaju plotek: „W mieście se siedzi, do zdania ziemi was pędzi, karierę na chłopach zrobił”.

Przyszły stan pogorszył jeszcze fakt, że projektodawca spóldzielni, po odbyciu odpowiedniego kursu zawodowego, odszedł do powiatu, na stanowisko sekretarza Partii, co dało kulakom asumpt do tego rodzaju plotek: „W mieście se siedzi, do zdania ziemi was pędzi, karierę na chłopach zrobił”.

Przyszły stan pogorszył jeszcze fakt, że projektodawca spóldzielni, po odbyciu odpowiedniego kursu zawodowego, odszedł do powiatu, na stanowisko sekretarza Partii, co dało kulakom asumpt do tego rodzaju plotek: „W mieście se siedzi, do zdania ziemi was pędzi, karierę na chłopach zrobił”.

Przyszły stan pogorszył jeszcze fakt, że projektodawca spóldzielni, po odbyciu odpowiedniego kursu zawodowego, odszedł do powiatu, na stanowisko sekretarza Partii, co dało kulakom asumpt do tego rodzaju plotek: „W mieście se siedzi, do zdania ziemi was pędzi, karierę na chłopach zrobił”.

Przyszły stan pogorszył jeszcze fakt, że projektodawca spóldzielni, po odbyciu odpowiedniego kursu zawodowego, odszedł do powiatu, na stanowisko sekretarza Partii, co dało kulakom asumpt do tego rodzaju plotek: „W mieście se siedzi, do zdania ziemi was pędzi, karierę na chłopach zrobił”.

Przyszły stan pogorszył jeszcze fakt, że projektodawca spóldzielni, po odbyciu odpowiedniego kursu zawodowego, odszedł do powiatu, na stanowisko sekretarza Partii, co dało kulakom asumpt do tego rodzaju plotek: „W mieście se siedzi, do zdania ziemi was pędzi, karierę na chłopach zrobił”.

my głównie ścierniska, które trzeba było prawie w całości uprawiać wiosną. Rzuciłem w tej sytuacji myśl podpisania umów na kontraktację. Za uzyskane zaliczki można byłoby kupić kilka koni. Tak się też stało. Jeździłem na jarmarki, wyłkocalem się z rozmaitymi wydrwigroszami o każdą sztukę.

Nie osiągnęliśmy poważniejszych wyników produkcyjnych w pierwszym roku. Lecz nie dlatego, że z siłą pociągowa było źle. Zawodziła na początku ludźcie. Brakło naukowego podziału pracy, stale jeszcze dominował rodzinny, szeryto się nierobstwo. Przydał dawał sam przewodniczący spóldzielni, daleko większy zwolennik kieliszka niż socjalistycznej pracy. Nasi ludźcie bali się utracić swojej uniwersalnej wiedzy o hodowlę krow, produkcji buraka, żyta, jęczmienia, pszenicy, pietruszki i cebuli, na rzecz oddania się jednej określonej specjalności. W tym stanie rzeczy trudno było zorganizować brigady.

A jednak w roku ubiegłym podziwiała nas już cała okolica. Obecnie spodziewamy się wycieczek chłopskich z Rzeszowskiego.

Jak to się stało?

Zajrzyjcie kiedy do mojej szkoły. Wraz z założeniem spóldzielni otrzymałem pełną siedmioklasową szkołę, Stoi na wzgórzu, pośród drzew.

Uzyskałem w tym roku, kilkanaście dni temu — 100% promocji. Już ubiegłego roku wyróżniono nas na sierpniowej konferencji nauczycieli. Nasi młodzieźowi delegaci byli u Premiera i Prezydenta, reprezentowali ZMP na Zlocie Młodzieży Demokratycznej w Berlinie. W Polczynie Zdroju wyróżniono przodownika nauki — Madeja Mieczysława, w Walczu — Krukowskiego Stanisława, w Wiechorku — Pronkiewiczównę Marię i Kulpińskiego Aleksandra. Wszyscy są już uczniami średnich szkół i wspaniałymi wychowankami naszego kolektywu.

Czytelniku, zapraszam cię do naszej świetlicy, o którą przed dwoma laty toczyła się ostra walka. Posłuchasz naszego radia, gdyż mamy nie tylko elektryczność (nawiasem mówiąc doprowadziliśmy ją w przeciągu miesiąca, podczas gdy indywidualnie staraliśmy się równe dwa lata) ale własny radiowęzeł. Produkują się tam przodownicy prac, śpiewa i deklamuje szkolna młodzież — nadzieja i duma spóldzielni. Możemy także zapropionować ci kino.

Przybądź do nas czytelniku. Opowiem ci, jak to w ubiegłym roku osiągnęliśmy zwycięstwo, którego odebrać już sobie nie damy.

Jan Lubiński

EDMUND GOŁAWSKI

PO MLECZNEJ DRODZE

Listy z Podhala

Przegląd wydawnictw

Lata międzywojenne

INSPEKTOR rolny Pow. Zarz. ZSCH w Cieszynie, gdy zapytałem o przebieg obowiązkowych dostaw mleka, prosząc o wskazanie przodujących gromad i poszczególnych rolników, odrzucał z pamięcią zaczął sypać nazwiskami, liczbami, nazwami gromad.

Notuję szybko. Jan Cieślak, robotnik rolny (4 osoby na utrzymaniu) dostarczał w r. z. — 4794 litrów mleka od jednej krowy, Karol Borucha (1 ha) gospodarz z Bażantowic — 2744 litrów, Franciszek Bielez z Rownichowa (3 ha, trzy osoby na utrzymaniu) — 1022 litrów, Józef Jurosek z Izdebnego — 2450 litrów od dwóch krowek...

A z gromad, która produkuje? — pytam już śmiało, widząc, że mój rozmówca poza suchą statystyką dostaw, dostarcza żywych ludzi, ich stosunki rodzinne, śledzi życie społeczne gromad i gmin.

Inspektor zamyślił się: „Chyba Bażantowice, dostarczały w roku zesłany 2600 litrów od krowy. Tak wysoka przeciętna jest tym wymowniejsza, że tylko o 20 minut jazdy koleją od miasta Cieszyna, dalej Pańców, Godziszów k. Jordana, Ogrodzowa...”

Idąc rano ze stacji w kierunku mleczarni w Bażantowicach już po drodze spotykamy na szosie wiele kobiet, a także i mężczyzn pchających przed sobą małe dwukołowe z bankami mleka. Ożywiony ruch panuje i w mleczarni, gdzie ludzie czekają na serwatkę dla świń.

Ilu dostawców macie w samych Bażantowicach? — zagadnąłem kierownika mleczarni.

Rozmówca mój pomyślał chwilę, po czym wstał, podszedł do okna i wskazując w kierunku linii kolejowej rzekł: Do Cieszyna mamy 20 minut drogi, ale nigdy jeszcze nie widziałem żeby wędrował tam ktoś z koszykiem masła lub banką mleka na sprzedaż.

Zaczęłam pytać i pytać. Po wyjściu z mleczarni wiedziałem już coś niecoś o tej gromadzie.

Bażantowice liczą 94 gospodarstwa o łącznym obszarze gruntów 381 ha, w tym 260 ha ziemi ornej. Przeważają tu gospodarstwa małe (do 2 ha), których jest 67, a tylko 23 od 2 do 5 ha i 4 ponad 5 ha. Ale to jeszcze nie dało odpowiedzi na pytanie dlaczego w Bażantowicach panuje taka „disciplina mleczna”.

Bo przecież 2600 l. dostawy rocznej przeciętnie od każdej krowy w gromadzie, to o 50 proc. więcej niż przeciętna mleczność krow w Polsce. Z hektara przeciętnie wypada ponad 1000 l. mleka rocznie, to jest trzy razy więcej niż przeciętna produkcja mleka na 1 ha użytków rolnych przed wojną (wszystkich gospodarstw, a więc i obszarowych).

Zaczęłam więc lazić po chalu-pach.

„Kiedyś — mówi mi Niemcewicz już gospodarz Jan Wałach — trudno mi było 5 sztuk inwentarza utrzymać. Jako hodowca z zamiłowaniem zabierałem się z miejsca do pracy głównie nad podniesieniem plonów”.

Po pierwszej wojnie światowej Wałach przeniósł się tu z Czesłowic i osiadł na 6 ciu ha. Dziś Wałach zbiera około 100 q siana, to znaczy 6 razy więcej niż w początkach w jego gospodarstwie. Buraków pastewnych zbiera — 700 q z ha. Ma inwentarz: 6 krow, koń, 4 sztuki świń (w tym dwie maćki) i spore stado kur. Paszy nie dokupuje, bowiem z 4 ha ziemi uprawnej i 1 ha łąk Wałach umie wyciągnąć tyle paszy, ile potrzeba na wyżywienie inwentarza. Konieczna czerwona zajmuje 37 proc. powier-

chni pól uprawnych, ziemniaki 10 proc., buraki pastewne 13 proc., cukrowe 3 proc., i kukurydza dla trzody około 2 proc. Na pozostałych 35 proc. powierzchni pól rosła pszenica, żyto, jęczmień i mieszanka zbożowa.

O dostawy mleka do zlewni nie pytałem, sprawdziłem już w mleczarni, że Wałach w ub. roku odstawił do mleczarni ponad 11 tys. litrów. Ale o dekrecie Wałach sam zaczął: „Wyznaczono mi na podstawie dekretu 800 litrów. Otrzymałem za to 280 zł mniej niż w roku zesłany, ale dzięki zrównaniu ceny letniej i zimowej mleka, (gdy chodzi o nadwyżki ponad obowiązkowe dostawy) zyskałem dzięki dekretowi około 8800 zł dlatego chętnie nadwyżki odstawiłem”.

Zaczyna mi świtać w głowie początek odpowiedzi, na to pytanie, które sobie postawiłem, jadąc do Bażantowic. Walka o powiększenie bazy paszowej, jako podstawy wzrostu globalnej produkcji mleka — to pierwsza tajemnica sukcesów Bażantowic. Ale czuję, że to jeszcze nie wszystko. Szukać będę dalej.

Edmund Gołowski

LUDWIK MAJ

REZERWY BAZY PASZOWEJ

NA Podhalu istnieje możliwość utworzenia szerokiej bazy paszowej — w oparciu o hale i pastwiska — przez racjonalne ich wykorzystanie jak i powiększenie. Stworzenie takich baz paszowych nie wymaga dużego wkładu finansowego a możliwości eksploatacyjne od razu dają pełną gwarancję systematycznego podnoszenia hodowli bydła i owiec.

Rozważmy te możliwości:

Po 1) Sianie zbóż odbywa się u nas w warunkach klimatycznych ryzykownych. Pora już zacząć w naszej planowej gospodarce dostosowywać gatunki zbóż według możliwości terenowych i opłacalności. Żyto jak wiemy, ulega wyprzeniu pod większymi warstwami śniegu, pozostającymi dłużej na polach: Bardzo mało jest takich lat, w których by zbiór żyta dawał 8 q z ha. Przeważnie mniej a bywa, że i nic. A znowu na tych arenach zasiany len, w warunkach górskich, daje dobrą masę towarową, co zwiększa dochody chłopca pracującego i przysparza cennego surowca dla naszego przemysłu.

W systemie gospodarki kapitali-

stycznej zaopatrzenie wsi podhalańskiej było zdane na „wariackie” zmiany cen przetworów mącznych, co zmuszało chłopca do zabezpieczania się w chleb kosztownym sianem nieopłacalnym żyta.

Obecnie problem ten odpada a zasiany len na areale żyta daje o wiele więcej dochodu nawet przy średnim zbiorze wyprodukowanej masy surowcowej lnu. Nic też dziwnego, że z roku na rok chłopci powiększają plany kontraktacji lnu.

W 1949 r. na gminie Bystra zakontraktowano 23 ha lnu, w 1950 — 60 ha, w 1951 r. — 160 ha, a w roku bieżącym 230 ha. Uprawa lnu z roku na rok będzie się powiększała, co wpływa również na wzrost arealu sianej konopnicy, chłopci bowiem „praktycy” do lnu wsiwiają konopnicę, z której jesienią, już po wyrwanym lnu, mają część paszy treściwej na zimę — jak również w następnym roku. Powiększany z roku na rok areal konopnicy już przyczynia się w dużej mierze do racjonalnego rozwoju hodowli — jak również wpływa na zwiększenie plonów owsa w dwu następnych latach, wsiąganego po konopnicę.

Po 2-gie) Sprawa istniejących hal i pastwisk jak również ich zwiększenie.

Na przykładzie jednej gromady Sidzina przedstawie rezerwy bazy paszowej, dotąd odpowiednio nie wykorzystane. Na 4544 ha ogólnego obszaru gromady, obszar pastwisk i hal wynosi około 1600 ha. Hale te i pastwiska jako wspólna własność użytkowników powinny być punktem wyjścia do spójności całych gromad Podhala. Hale jak dotąd, nie są wykorzystywane racjonalnie. Gospodarka prywatnych dzierżawców, obliczona na krótką, jednoroczną metę eksploatacyjną, obniża wartość hal, co wpływa na zmniejszenie się hodowli owiec. Zwiększenie obszaru hal kosztem „pastwisk”, o których mowa, racjonalna ich uprawa, wypas owiec w systemie spójności gromadzkiej — podniesie hodowlę owiec do granic możliwości — tj. z ilości 300 owiec, jaką posiada Sidzina do średniej 1500 sztuk. W sumie tak postawiona hodowla owiec, oparta o hale, da wyższe dochody pracującemu chłopstwu — a naszymu przemysłowi wiele cennego surowca wełny, skór i przetworów mlecznych. A wszystko to przy małym wkładzie finansowym.

„Pastwiska” bowiem nasze to obszary, które dotąd „uprawia” przyroda, co pośrednio między lasem a ornymi gruntami. Porosłe przeważnie wyspami jałowców, mchem i borówkami. Wypas była na takich pastwiskach to wieczna „głodówka” była, które odpląca za taką paszę dwoma tysiącami litrów mleka rocznie.

Wyniki pojedynczych chłopów, którzy oderwali się od wspólnoty pastwisk skrawki po przeprowadzeniu prymitywnej uprawy — wycięcie jałowców, zbronowanie mchów i częściowe podsianie trawami — świadczą o olbrzymich możliwościach paszowych — które gwarantują dostateczną ilość treściwego pokarmu w miesiącach wypasu, dla ilości bydła trzykrotnie większej od obecnego stanu 2100 sztuk.

Na zboczach groni i „upłazów” rola wydatka lasem w okresie „głodu ziemi” w minimalnej ilości pokrywa wkład pracy w uzyskanych plonach owsa i jęczmienia. Ponadto coroczne wzruszenie skał gęby spowodowało jej spływanie w porach ulew-

nych deszczów w potoki, a co za tym idzie — obnażano z ziemi gronie.

Dają się słyszeć głosy, nieprzymiślane pod kątem naszych potrzeb gospodarczych — zalesić wszystkie gronie i „upłazy”. Czy byłoby to słuszne w dalszej przyszłości — to kwestia do dyskusji, na obecnym etapie — absurd, gdyż na uregulowanie i doprowadzenie gospodarki leśnej w zdewastowanych do należytej kultury potrzeba wysiłku latnych lat. Przesunięcie zaś granicy pastwisk na gronie i upłazy jest procesem, który może być w wykonaniu przyspieszony. A tereny te w całości odpowiadają stworzeniu wysoko wartościowych baz paszowych w części użytych na wypas bydła a w części na karmę w miesiącach zimowych, przez co proces obnażania groni z gęby odpadnie, gdyż wieloletnie pastwiska nie będą zmuszały do corocznej uprawy gęby.

Po 3-cie) Czerwona rasa była w praktyce naszych chłopów wykazuje, że jest najodpowiedniejsza dla warunków Podhala. Wysiłek naszych władz nie okazał się daremny, skoro stan jakościowy bydła został u nas w ostatnich latach podniesiony. Nie wszyscy co prawda dopracowali się odpowiedniej rasy — jak też ilości. Np. kmiecie więcej chcieliby zwracać uwagi na „handel” drzewem i z tego nielegalnego źródła podnosić swoją „siłę nabywczą” na towary przemysłowe. Ustawa o planowym skupie mleka pouczy ich i zmusi do zajęcia się hodowlą.

Pracujący chłopci wiedzą jednak, że w pojedynkę nie potrafią podoląć tak wielkiemu zadaniu w ostrej walce klasowej z „chłopami-handlarzami”, dlatego Partia i organy władzy terenowej powinny udzielić nam wszechstronnej pomocy dla zespołowej uprawy pastwisk zespołowego wypasu.

Ma przecież swoją wymowę fakt, że powiat nasz w ostatniej akcji skupu zboża według planu skupił 1300 ton zboża. A w tym okresie do końca I kw. br. wchłonił z pola terenu powiatu 4300 ton przetworów mącznych i zboża. Trzeba zrobić śmiały krok naprzód i mocniej postawić na bazę paszową i hodowlę, aby przyspieszać wykonania Planu 6-letniego na Podhalu.

Ludwik Maj

O LUDZIACH ODZYSKANYCH

(Dokończenie ze str. 3-ej)

krywającemu swe dziennikarskie współautorstwo z Korneckim. Marek miał matkę, cieszącą się ze sławy syna i dziewczynę — Kazkowi brakowało oparcia w domu.

Kazek Spokorny na tydzień przed ujęciem bandy wiąże się z nią na nowo; nieświadomie bierze nawet udział w ściąganiu swych przyjaciół na miejsce zaplanowanej przez „szefa” kazi. Kazek ugiął się przed niegodziwością ogłoszenia, odbierającego mu tytuł przodownika i wypominającego mu dawną kradzież w momencie, gdy z pełną świadomością starał się zerwać z nielegalnym i zbrodnym życiem.

W istocie jednak sprawa Spokornego jest nowym świadectwem dużego wyrobienia artystycznego pisarza. Bo nie jest ona przecież wyzwolewnym problemem winy i kary — nie zamyka się w obrębie tragicznego losu jednostki — nie jest wreszcie rzeczą ślepego przypadku. Los Spokornego stanowi najmocniejszą oskarżenie, skierowane w stronę tych, którzy budowali na deprawowaniu młodzieży, jest także oskarżeniem tych, którzy uderzeniem w młodego chłopaka chcieli się zastąpić przed zastępstwem ciemnym za prowadzoną dwukolorową grę. Sprawa Kazka spłótła się w swych ostatnich etapach z pierwszymi pogłosami wielkiej akcji oczyszczającej, przeprowadzonej przez gotujące się do zjednoczenia partie robotnicze i obciąża swym zakończeniem fabryczną klikę oportunistów, nerwowo i ślepo szukają-

cych szans na wybielenie popelnionych mactaw. Utrącenie Spokornego miało tłumaczyć ich niechęć do współzawodnictwa pracy, do którego zwywał „taki” człowiek. Sprawa Kazka jest doskonałą literacką ilustracją ważkiej prawdy życiowej — że każdy czyn i pociągnięcie ma w życiu społecznym swoje głębsze, choć nie zawsze łatwe do ujawnienia przyczyny i jeśli jest ślepy, może pociągnąć za sobą nieobliczalne skutki. Na przykładzie losów Kazka przeprowadził pisarz dobry wykład teorii przypadków.

Rzecz Inna, że samo zakończenie książki przypada w momencie zupełnie nieusprawiedliwionym. Zakończenie to ma zapewne swój walor emocjonalny, ale jest niedorzecznie mechaniczne. Dowód w tym, że zmusiło ono pisarza do podania informacyjnego epilogu, który wyjaśnia rozcięcie przez pół sytuacji. A i sama metoda epilogu, nawiązującego do powiesiowego wstępu, wydaje się chybiona. Jest w tym budowaniu dwupiętrowej fikcji jakaś maniera pisarska — słusznie odrzucił ją Igor Newerly w dalszych rozdziałach „Pamiętnika z Celulozy”. Gdyby nie bezprzeznaczny fakt, że Koźniewski dał dobrą książkę, można by złośliwie podejrzewać, że chciał tym sposobem przesuwać część pisarskiej odpowiedzialności na fakty. Bo taki jest na ogół sens tego rodzaju literackich zabiegów. W przypadku „Piątki z ulicy Barskiej” jest to przecieć zupełnie niepotrzebne.

Jerzy Skórnicki

SYLWESTER DZIKI

WIES ŻYWIECKA

WIES żywiecka w okresie wojennym i międzywojennym należała do najuboższych. Szachownice chłopskich zagonów nie mogły wyżyć wielodzietnych rodzin. Toteż chłop gospodarujący na „skłicie” często chleba szukał na Orawie, szedł z kosą na Madziary, a nawet wędrował za ocean, by szukać chleba. Dopiero stosunki te zmieniły się po wojnie. W powiecie żywieckim w ostatnim czasie nastąpiła znaczna rozbudowa istniejących zakładów pracy, co umożliwiło zatrudnienie na miejscu setek chłopów w przemyśle. Powstające obiekty Planu 6-letniego w pow. żywieckim potrzebują coraz to nowych rąk do pracy. W rezultacie wzrostu zatrudnienia wzrosła i stopa życiowa żywieckiego chłopca. W ubiegłym roku chłopci pow. żywieckiego za pośrednictwem tylko sklepów GS u otrzymali towarów przemysłowych na sumę 82.301.000 zł. Zużycie węgla na wsi żywieckiej w porównaniu z okresem przedwojennym wzrosło blisko 30-krotnie. Podobnie kształtuje się wskaźnik zużycia towarów tekstylnych, obuwia i innych artykułów codziennego użytku.

Chłopci korzystają również z dużej pomocy państwa w formie kredytów i premii. Tak np. od roku 1949 do 1952 rozprawdzono wśród mało i średniorolnych chłopów 1815 tys. złotych, co umożliwiło podniesienie produkcji roślinnej i zwierzęcej oraz likwidacji odlogów. Wiele kredytów wies żywiecka otrzymała na cele inwestycyjne i odbudowy zniszczonych niemiecką okupacją gospodarstw. Zaś 119.000 złotych przeznaczono na premiowanie wyróżniających się w hodowli roślinnej i zwierzęcej rolników. Młodzież chłopska znalazła dostęp do wyższych uczelni szkół średnich i zawodowych.

W 11 szkołach średnich i zawodowych uczą się 2.340 córki i synów

„Chata Wujka Toma”
(Dokończenie ze str. 2-giej)

naród uprawiający ludobójstwo u siebie nie będzie się wahać przed popelnianiem go poza swoim krajem.”

Na żądanie Stanów Zjednoczonych Komisja Praw Człowieka ONZ nie przyjęła petycji. Sprzeciw imieniem USA wniosła pani Roosevelt. W obronie faszyzmu nie zawahała się użyć nazwiska męża, dając tym miarę upodlenia burżuazji Ameryki. Miarę niepełną. Nadszedł uraz obojętne i wojna bakteriologiczna. Tego również nie mogła przewidzieć Harriet Beecher-Stowe.

Julian Stawiński

Sylwester Dziki

chłopskich. W pow. żywieckim nie ma gromady, z której by nie uczęszczało do szkoły zawodowej kilka dzieci. Wzrosło ostatnio w poważnym stopniu na wsi czytelnictwo, do czego niewątpliwie przyczyniły się istniejące we wszystkich gminach biblioteki i punkty biblioteczne w gromadach. W popularyzowaniu czytelnictwa dużą rolę odgrywają listonosze wiejskie. Np. listonosze z Urz. Pocz. w Sporyszu w miesiącu maju rozsprzedali wśród chłopów 500 książek. W Ryercie Dolnej np. zaczęła w r.u.b. masowo czytać młodzież. Zorganizowana przez ZMP zabawa dała pierwszą fundusze na książki. Powstały 3 zespoły czytelnice. Dyskusja nad przeczytanymi książkami przekształcała się szybko w wielką dyskusję na temat najlepszych form gospodarowania i spółdzielczości produkcyjnej, w dyskusję, która trwa i w której bierze dziś udział cała niemal wies.

Niemal wszystkie gromady są odwiedzane częściej czy rzadziej przez kina objazdowe, a nadto w 9-ciu gromadach istnieje kina stałe.

Liczba świetlic zorganizowanych przez ZSCH w pow. żywieckim wynosi 53, a bibliotek 49 z 40 tys. książek. Przy świetlicach gromadzkiej pracują 13 zespołów samokształceniowych, 22 zespoły dobrego czytania, 44 zespoły Wszechnic Radiowej, 14 chóralne, 12 muzyczne i 18 tanecznych. W grom. Juszczyca rozwija się kółko mierzyniowskie. ZSCH, który skupia na terenie pow. żywieckiego ponad 25 tys. członków w trosce o zdrowie chłopów pracujących wysłał na bezpłatne leczenie 72 osoby.

W ciągu 7-miu lat rządów Polski Ludowej wiele gromad zostało zelektryfikowanych jak Sporysz, Kobiley, Moszczanica, Trzebinia, Pietrzykowice, Ladygowa, Radziechowcy, Trasná Mała, Międzybrodzie Bialskie, Międzybrodzie Żywieckie, Cisiec i Zadzle.

W ciągu 7-lecia wybudowano w powiecie 29 nowych szkół, a w 70-ciu przeprowadzono remonty kapitalne, podczas gdy w ciągu 19 lat rządów sanacyjnych powstało zaledwie... 12 szkół. Powstaje piękna i nowoczesna szkoła w największej gromadzie powiatu żywieckiego w Radziechowcach. Powstał piękny budynek Technikum Przemysłowego w Sporyszu.

Chłopci pow. żywieckiego w swojej codziennej pracy używają coraz więcej maszyn. Taką np. zacofana przed wojną gromada Pietrzykowice siew wiosenny wykonała już w całości siewnikami. Powiat żywiecki żyje już inaczej.

Sylwester Dziki

NAKŁADEM Wyd. Ministerstwa Obrony Narodowej ukazała się ostatnio obszerna, z górą 300 stron licząca praca prof. LEONA GROSFELDA „POLSKA W LATACH KRZYŻYSU GOSPODARCZEGO 1929—1934”. Dzieło to oparte o bogaty materiał źródłowy stanowi cenną pracę naukową dla wszystkich, którzy chcą poznać ekonomiczną sytuację przedwojenną w Polsce i jej przyczyny, a także międzynarodowy kapitał i na pół kolonizowanej przez koncerny i trusty zagraniczne. W pracy swej autor kierował się metodą marksistowską, która pozwoliła mu ów „typowy kryzys nadprodukcji” ukazać wyraziście na tle całokształtu chaotycznej gospodarki kapitalistycznej. Autor omawia rolę i politykę monopolu zagranicznych, penetrujących bogactwa naturalne Polski oraz rolę zagranicznego kapitału opowiadającego systematycznie najważniejsze galęzie przemysłu. Na tle typowego i powszechnego dla kapitalizmu kryzysu rysuje autor położenie i walkę klasy robotniczej skupionej wokół Komunistycznej Partii Polski, wskazując na więź łączącą kryzys przemysłowy 1929—34 z kwestią agrarną w sanacyjnej Polsce i „równającym w bezkresny dół” położeniem mas chłopskich. Praca Grosfelda ukazuje w sposób naukowy i społeczny społeczne przyczyny strajków i powstań chłopskich — krwawych zajęć m. in. w Kozodrzy, Nockowie, pod Jadowem.

W oddzielnej części pracy autor omawia dwie drogi wyjścia: jedną którą wybrała burżuazja — drogę fanazyacji kraju, terroru i „trzymania za mordę” milionowych mas robotniczych i chłopskich właśnie dlatego, że decydują się one wkroczyć na jedyną słuszną, rewolucyjną drogę wyjścia. „Aby znieść kryzys — jak uchwycił Stalin — trzeba zniszczyć kapitalizm”. Książkę kończy rozdział „Budujemy nową Polskę” — wejście dla orientacji, oceny i właściwego porównania, dla dobitniejszego wykazania słuszności obranej przez Ludową Polskę drogi ekonomicznego rozwoju i przebudowy kraju. Praca L. Grosfelda wymaga oczywiście pewnego przygotowania umysłowego czytelnika ze względu na swój naukowy charakter.

Broszura K. MAŁCUZYŃSKIEGO i J. RAWICZA „GDY POLSKA RZĄDZIŁA BURŻUAZJA” (wyd. „Książka i Wiedza”, str. 110) przypomina najjaśniejsze afery gospodarcze, ukazuje sprzedawcę rodzimej burżuazji i jej właścicieli obliczone za frazesami „silnych, zwartych, gotowych”. Autorzy przedstawiają w szeregu plastycznych obrazów, jak „kapitał zagraniczny pod patronatem i przy współudziale rządów sanacyjnych nie tylko rabował Polskę, pogłę-

biał kryzys, zwiększał nędzę lecz równocześnie Polskę rozbrajał”. Autorzy oświetlają „afery żyrodawską 1923—26”, machinacje Kreugera — „króla zapalczanego”, dzieje mało znanej, łupieżczej ze względu na horrendalne warunki, pożyczki Benito Mussoliniego dla Polski, szereg zakulisowych machinacji W. Averell Harrimana, obecnie Trumanowskiego doradcy, który kupował sobie bez trudności polskich „mężów stanu” i sanacyjnych postów Autorzy wskazują na wielką aktualność w odniesieniu do bieżącej sytuacji, słów Lenina, który pisząc o carskiej Rosji, mówił: „Dziś minister — jutro bankier, dziś bankier — jutro minister... Tak mają się sprawy... wszędzie tam gdzie panuje kapitalizm”. Dwa ostatnie rozdziały cenne są ze względu na fakt, że oświetlają katastrofalną sytuację polskiego lotnictwa — teren szczególnie jawnych nadużyć zarówno rodzimych jak zagranicznych kapitalistów. Omawiana pozycja w ujęciu swoim popularno-naukowa winna dotrzeć do adresatów — jak najszerzej mas czytelników.

O konsekwencjach tej antynarodowej, godzącej w żywotne interesy klasy robotniczej i chłopstwa, polityki kliki sanacyjnej mówi praca MARIANA STANIEWICZA: „KŁĘSKA WRZEŚNIOWA 1939 R. NA TLE SYTUACJI MIĘDZYNARODOWEJ”. (Wyd. MON. 1952) Cel tej pracy określa w przedmowie sam autor. Jest to „ukazanie źródeł i dzieł odrażania się imperializmu niemieckiego”, przy czynnej pomocy anglo-amerykańskiego kapitału — „złotego deszczu dolarów”.

Autor obrazuje sytuację międzynarodową w in. Monachium, które skierowało miarę „bękarta zachodniego kapitału” — Hitlera ku Wschodowi, ku ZSRR, po trupie Polski zaprzęgniętej temuż kapitałowi przez sanacyjne rządy Autor przypomina znaną taktykę imperialistyczną, taktykę zulekiania i maskowania, nieudolnego zresztą, zbrodniczych zamiarów, jak np. w wypadku podjęcia pozorujących tendencje pokojowe „rozmów moskiewskich latem 1939 roku” — prototypu dzisiejszej komedii Kaesonga.

Drugą część pracy poświęca autor wykazaniu, w oparciu o bogate dokumenty, jak głęboko antynarodowa była polityka sanacji, jak wielką była jej szalca zależność od antypolskiej polityki zachodnio - kapitalistycznych rządów.

Cytowane publikacje demaskują i stawiają w ostrym świetle zarówno nasz rodzimy jak i obcy zbrodniczy kapitalizm, przypominają lata „głodu, kryzysu, faszyzmu” — przypominają i ostrzegają. I w tym tkwi ich zasadnicza wartość.

S. K.

Dziewczęta z Czwartej Lewej

(Dokończenie ze str. 4-ej)

zawiesić zaufania Partii, do której kandyduje, że zdaje sobie sprawę z tego, że jest pionierką wielowarstwowości na Czwartej Lewej, i rozumie, że od powodzenia jej przedsięwzięcia zależy upowszechnienie wielowarstwowości wśród załogi. Jednocześnie dyrekcja przystąpiła do szkolenia załogi metodą Kowalowa.

Ślapiński wyznaczył Budzyńskiej maszyny nr 16, 18 i 20 i po dwóch tygodniach pracy Krystyna stanęła wobec widma kłeski osiagając z trudem zaledwie 80 proc. swej bazy produkcyjnej.

Upały minęły. Przez uchylone okna wpływał do hali zapach jesiennych deszczów i chłodnej wilgoci, a pomimo to zrywność na obręczniakach nr 16, 18 i 20 dochodziła do 180 nitów na godzinę przekraczając dopuszczalną normę 160 wrzeciono-godzin.

Krystyna dwoiła się i troiła w staranności, dokładności, cierpliwości, lecz wszystkie jej wysiłki szły na marne.

— Nie rozumiem, co to znaczy? — poskarżyła się wreszcie Ślapińskiemu. — Dlaczego u mnie taka duża zrywność?

— Ma pani to, co pani chciała — odrzekł z zimną obojętnością i dmuchnął w wasy. — Gdyby pani została przy swoich trzech stronach, panie święty, to by pani teraz nie miała zi artwień.

Nazajutrz, od poniedziałku zmiana Krystyny rozpoczynała pracę o godzinie wpół do drugiej.

Z portierni skierowała się nie na Czwartą Lewą, lecz do kierownictwa przędzalni.

Kierownik przerwał rozmowę z majstrom zwanym Jastrzębskim. — Nasza narada z majstrom potrwa dłużej — powiedział — więc jeżeli pani ma pilną sprawę, to wołaj panią załatwić od razu.

— Ja przysłałam prosić o zwolnienie z pracy, panie kierowniku.

— Jak to, o zwolnienie? Na jaki czas i z jakiego powodu?

— W ogóle, o zwolnienie...

Krystyna zmieszała się pod uważnym spojrzeniem niebieskich oczu siwowłosego kierownika,

— Z nie mniejszym zainteresowaniem przyglądał się jej majster Jastrzębski, młody człowiek z rozrzuconą fantazyjnie kopą czarnych włosów.

— Pan kierownik wie, jak to jest — zmieszana, zaczęła się usprawiedliwiać. — Przeszłam na pięć stron, a nic nie mogę wykonać bazy. Pytałam się majstra, czemu na moich maszynach taka duża zrywność. Powiada, że mam to, co chciałam, i że na pięciu stronach nikt nie da rady.

— To wy jesteście towarzyska Budzyńska ze zmiany Ślapińskiego z Czwartej Lewej?

— Do tego jeszcze ludzie patrzają — mnie krzywo — mówiła nie zwracając uwagi na pytanie Jastrzębskiego. — Nie mogę tu zostać dłużej, no i już! Muszę się przenieść do innej fabryki.

— A jaką macie zrywność, towarzysko? — spytał znow Jastrzębski.

— Sto osiemdziesiąt, a czasem i więcej — odparła niechętnie, bo niby, co to mogło Jastrzębskiego obchodzić.

— Sto osiemdziesiąt! — wykrzyknął. — To na jakich wy maszynach pracujecie?

— Powiedzcie, na jakich maszynach pracujecie?

— Na szesnastej, osiemnastej i dwudziestej — odburknęła.

Majster zrobił wielkie oczy. — Kobieto, toć to są najgorsze maszyny!... Nie dziwota, że nie mogliście wyrobić swojej bazy!

I obróciwszy się do kierownika poinformował: — Szesnastka, osiemnastka i dwudziestka mają złe zdecetrowane wrzeciona i nieprawidłowe biegiące i są przeznaczony do generalnego remontu.

Kierownik wstał odsuwając z szurgotem fotel. Chwilę stał bez słowa, jak gdyby czekając, żeby zeń gniew opadł, potem przyciągnął z powrotem fotel, usiadł i stwierdził spokojnie: — Postawił kobietę nau-myślnie przy najgorszych maszynach, żeby pokazać, że nie można pracować na pięciu stronach. (Dokończenie w numerze następnym)

Władysław Rymkiewicz

Gazetka gminna

„Mąż zaufania”

Kapitał korespondencji do „Rolnika Polskiego” nadesłali chłopcy z Ujścia nad Notecią. W liście tym gromada odmawia wreszcie wotum zaufania farbowanemu działaczom miejscowemu. Farbowany był on nie od dzisiaj. I nie od dzisiaj o tym wiadomo. Zle oczywiście, że tolerowano lisa farbowanego aż na pozycji „męża zaufania od wszystkich kontraktacji, członka prawej wszystkich komisji oraz w tej samej osobie prezesa gromadzkiego koła ZSCh”.

Ale bywa i tak, że mądry Polak dopiero po dziesiątej szkodzi. Ciekawo, która to z kolei i jaka szkoda spowodowała ów list, miazdzący w opinii publicznej ob. Franciszka Mikolajewskiego?

Kiedy zajmował poniemieckie gospodarstwo z całym inwentarzem martwym i żywym — być może, mówiono — ma chłop przedsięwzięcie i rozmach.

Kiedy z 12 sztuk była spawadł przedko do 4-ch a 30 ha zwięził do 14-tu — znaleźli się tacy, co jeszcze w tym widzieli „głowę nie od parady”.

Ale kiedy w 50 r. wypełnił zaledwie 60 proc. skupu zboża i przy kieliszku w gospodzie uzyskał na resztę umorzenie — zaczęto mówić — „magik”.

Magik i magik. Bo mało, że oszukał państwo ale jeszcze otrzymał na zebraniu rolników pochwałę od przewodniczącego MRN. Magik w 51 r. otumaniał nowego przewodniczącego, że ma 8 ha, choć obrabia przeszło 14 ha i zamiast do 5 ton zobowiązano go do 3 ech.

Magik za r. 51, jako prezes koła ZSCh, wysłał sprawozdanie, w którym podał 32 zebrania, z których ani jednego w roku nie odbył. Gadać, gadać ale pisać, nie pisać!

Aż dopiero... jak mówi przysłowie: **„kto w ul dmuchnie, temu pysk spuchnie”**. Dmuchał mianowicie Mikolajewski w produkcji. W samą produkcję, w sam ul tej produkcji — hohowle. A dmuchnął tak, że zataił ów „mąż zaufania od wszystkich kontraktacji” premiowanie hodowli i termin spędu hodowlanego. Na konkurs powiatowy stawiał się sam ze swoimi krowami. A że nikogo więcej nie było z Ujścia, on zaś — wiadomo — „członek wszystkich komisji”, więc wrócił z dyplomem i 250 zł. premii.

Za to poniżenie chłopów z Ujścia na honorze dostał wreszcie w pysk. Bo chłopcy więcej i lepiej hodują coraz bardziej dla honoru pracy „dla sławy tej pracy”. **Emil Koniczek**

Wiarus spod Wirginii

Nie miała baba kłopotu kupiła se prosie, a ja dla te chętki zaplantowałem tyton Wirginia. W tamtym to było roku. I oddał przytrafunków mam nie do zliczenia. Podpisałem zobowiązanie, że wybuduję suszarnię z cemu. A cement miał być w maju albo z początkiem czerwca. W tamtym to było roku. Przeszedł maj i czerwiec a cementu nie widać. Zaczęły się żniwa. koniec już następowy lipca dopiero się cement pokazał. I buduję tu na taki czas suszarnię. Ile ja zdrowia przy tej robocie straciłem a głowę to już całkiem, bo tu liście schną na krzakach, bo suszarnia idzie w górę ale cęgly brak na komin bo mi sto cęgli przydzielono a te sto włoży w piec, a tam gdzie komin — powietrze. A na polu niszczy chleb, kiedy tak latam od tytoniu do suszarni i od suszarni do sąsiadów. Dobrze, że mi sąsiedzi pożyczili małych betonków z mostków na strudze, więc żem jeszcze w porę komin wystawił. Ale od wiosny wolała o te betonki, bo im na mostki potrzebne. I znowu kominu nie będzie. A ja się zawiązałem i w tym roku także plantuję. Nawet zostałem przodownikiem gromadzkiem od tytoniu, przez co nowy mnie spotkał przytrafunek. Kiedy my bowiem pojechali do powiatowej spółdzielni w

Mielcu naraili nam inspekta, że to my już z tamtego roku wiarusy Wirginii.

Jak wiarusy to za deski ale gwoździ nie było. Radzili napisać do gazety, wtedy się przeded do nas posuną te gwoździe. Albo — radzili — kolkami po stolarku. A z cęgią co? — pytamy. — Piszemy, pilnujemy, pewnie będzie. Pomarkotnieli chłopcy i za powrotem do domu, ci co nie byli, nuż się z plantacji wycofawać. Wtedy se przypomniałem, że ze mnie przodownik, znaczy cała odpowiedzialność i honor gromady. Dobrze, że było po siewach bo mogłem oblać wszystkie chałupy naszych Wirginia. A nawet wiedziałem, co powiedzieć. Bo w Mielcu wielka się robi budowa i tam się zgadałem z jednym robotnikiem. A ten mi na moje żale powiada. — A w przemyśle są stare fabryki? Odpowiadam — są. A widzisz — powiada — tam stare maszyny, stare urządzenia, nie jedno się psuje a wyciągamy co roku wyższe normy? Mówię — wyciągacie. To tak — powiada — jak ty chwilowo bez cęgli. Wykombinuj do czasu, rusz głową i rusz twój zespół, kto zna stolarkę zbije wam inspekty. Ci co mają mostki, na zebraniu zgodzą się pożyczyc. A w gazetę swoją drogą pisz! **Piotr Bartodziej**

Kłopoty nieprzewidziane

— Na przedwiośnie było u nas zebranie. Zaplanowane przez Gminną Radę kontrakty wszystkichśmy w gromadzie rozebrali.

Ja mam 8 ha, z tego 7 ornego. Nie wiele myśląc wziąłem do kontraktowania buraki cukrowe i jęczmień i koniczyne i kartofle selekcyjne i groch i gorczyce. A tu po pięciu tygodniach przychodzi pan Koszela z Rady z jakąś panną i nową ze mną rozpoczynają kontraktację. — Obywatele — mówię — piękniej by to nawet było, ale dołajcie mi w takim razie pola, bo na moim brak już miejsca na wasze artykuły.

— To u was, widzę, na stodołach i bocianim gnieździe chcieli by kon-

traktować, a u nas znowu tak, że o kontrakcie, jaki ze mną znowu, całkiem zapomnieli. Pobrali w tamtym roku zaliczkę nasienną 280 zł. na sadzenia. Jesienią wysłano z PRN-u referenta do oceny, ale ten w Borecznie powypijał co lepsze nalewki i do gromad już nie dojechał. Nie otrzymałem więc zaświadczenia kwalifikacyjnego i mam sadzeniaki oddać do GS-u, jako jadalne. Telefonałem do PZGS-u w Moragu, żaliłem się na konferencji w gminie i na wybornach do Pow. Zarządu ZSCh. Wyniki? Obiecują, notują, protokółują a potem widać do kosza rzucają, bo rezultatu nie ma.

Józef Klos

Wspólna droga

Tadeusz Synowiecki w Smarzowej (pow. Jasło) nie otrzymał pełnego rozliczenia z roszarni lnu. Pisał więc do Krosna raz, drugi. Po trzech miesiącach wykropił list do „Rolnika”. Redakcja interweniowała. Zjawił się wówczas z Krosna „jakiś przedstawiciel”, wypytali o co chodzi, przepatrzył rozliczenia i nie dokładnie nie mówiąc — odjechał. Po dwóch tygodniach przybył drugi i orzekł, że ktoś nieprawie pobral z Synowieckiego tekstyla. Potem pytał po co pisał do redakcji? A skoro to uczynił niechże teraz napisze do gazety, że „była to pomyłka i że już wyrównano”.

Jeszcze nie wyrównano, w tym rzecz — odpowiedział chłop. — Kiedy otrzymam, co mnie się należy, wtedy dopiero napiszę.

Na to pan delegat: — Napiszcie do roszarni w Krośnie, co wam najbardziej potrzeba, to wam przysła.

Synowiecki napisał, czekał miesiąc, drugi wysłał list, czekał dwa miesiące, wreszcie mu nadesłano.

Kontraktacja bez odbiorcy

Jako agent kontraktacji zwracam się ze sprawą, która mi leży na sercu. W ubiegłym roku zakontraktowałem u 17 chłopów ziemniaki — kwalifikowane sadzeniaki. Wiosną był gm. instruktor rolny i kazał powyrwać małe krzaki, które inaczej kwitły. Tośmy te urodę, jak przykazano, przeczesał. Do jesieni nikt więcej na kontrolę nie przybył. A w jesieni nie wiadomo skąd rozniosło się, że ziemniaki zdyskwalifikowano i wiosną mają być dostarczone jako przemysłowe. Byłem temu przeciwny i na każdej oprawie pytałem z jakiej to racy takie bałamutstwo? Badano? Nie! Wiedzieli zdyskwalifikowano? Przecież to ważne i nie zwyczajne — sadzeniaki!

Ostatnio otrzymałem odpowiedź, że obszar był za mały. A to ci dopiero wzięcia! Czyż nie wiadomo przy zawieraniu umów ile u każdego będzie pola? Robiono zastrzeżenia? Nie. A przecież wiadome było, że na sadzeniaki poszli małowolni, najbied-

Mały to a pouczający obrazek. W rozliczeniach zła metoda i niedbalstwo. W drugim etapie ci dwaj panowie z powiatu u jednego chłopca, pomnożyli przez X podobnych wypadków a nowy chaos w powiecie. Skutek? Kiedy już wiadomo dokumentnie, że chłop nie zapłacił w tekstyla i gotówce — procedura załatwiania trwa nowych 3 miesiące.

A w międzyczasie? Pierwszy pan z powiatu zbysła chłopca półśłówkiem, drugi wypomina list do redakcji i każe pisać, że „załatwiona” a do roszarni nie bierze wykazu tekstyli, jakich chciał plantator — pisz sam chłopie! Po cóż zatem przyjeżdżał pan delegat? Czy według niego dwie drogi prowadzą do Krosna? Jedną on pojedzie a drugą list Synowieckiego? Ej, panowie w Krośnie! Droga jest jedna i wspólna. Wyjechał na nią o północy Synowiecki z lnem aby wrócić dopiero o północy w drugą. Wam należało pojechać z wykazem i wypełnić go nazajutrz! **Walery Okoń**

niejsi, którzy nie mieli własnych sadzonek.

I teraz otrzymają po 19,45 zł. tak samo jak ci oporni, którzy myśleli sobie w jesieni — nie dostawie teraz zwykłych ziemniaków a wiosną się zbobacę. Ale ich już dosięgła ręka sprawiedliwości, otrzymali upomnienie aby dostarczyc kartofle, jako zaletę, do GS-u.

Trzeba aby ręka sprawiedliwości otoczyła też opieką tych małowolnych, co wyhodowali sadzeniaki. Bo oni już wożą je i drą buty, chodząc od CUS-u do Komitetu za sprawiedliwą zapłatą i za niemarnowaniem sadzeniaków. Bo co innego użycie kartofli do przemysłu a co innego do reprodukcji a mamy przecież teren zawirowany i trzeba podnosić gatunek.

Trzeba o to dbać, bo w okolicy upadnie chęć do kontraktacji, jak to już ma miejsce przy lnie.

20 kwietnia 52 r.
Bolesław Dorawa
Miastko, woj. koszaliński

Pan delegat — biurokrata

Jeśli chcecie dowiedzieć się jak działa delegat CUS-u w okolicach Tarnów — Góry, posłuchajcie Jadwigi Gołkowskiej ze wsi Miedary. Pracuje ona aktywnie od 45 r. „ale teraz ręce mi już opadają”. Czyja to zasługa? Delegata CUS-u. Jak — spytacie — może wpłynąć delegat od skupu i kontraktacji na zahamowanie aktywności społecznej? Dwoma prozami Was sposobami. Jeden polega na tym, jak informuje Gołkowska, żeby „coraz mocniej grać na nerwach”, drugi żeby w opinii społecznej „odebrać człowiekowi honor i uważanie”.

A gdybyśmy tak powiedzieli o tym p. delegatowi? Oburzyby się, ręczę. — Coś takiego? U mnie sprawa jest jasna i prosta. Wysłałam oznajmienie. Gołkowska z Miedar... o proz — 128 kg. mięsa. W marcu — upomnienie. Znaczy, czuwać, pilnuję dostawy. W kwietniu wzywa ją prokurator. Musiała go zabajłować, bo wraca i gada, że otrzymała zwłokę na dalszy termin. Czy to nie zły wpływ? Ładnie bym wyglądał, gdyby nasze terminy nie obowiązywały, więc w maju drugie się upomnienie, a po pięciu dniach znowu upomnienie z dodatkami 10 proc. zwyki.

Powinśzować, podziękować i postawić kropkę? Nie, mo kochani.

Bo pan delegat, jeśli wylczył 128 kg. tzn. od... 3 ha. Tyle ziemi ma Gołkowska, w tym ornej — 2,19 ha. Znaczy — małowolna. Rodzina składa się z 5 osób. Dzieci troje — dwóch chłopców poniżej 13 lat i córka (23) ułomna. Mąż ma 60 lat i sterane zdrowie, pracował w kopalni 27 lat. Był górnikiem. On robotnik z przeszłości, zona małowolna a razem nie to nie mówi panu delegatowi? On pilnuje sprawy. Czyje to sprawy?

Pan delegat, kiedy zapisywał wielkość dostawy, wiedział, że Gołkowska dobrze prowadzi gospodarstwo. Ma 2 krowy i jałowkę, trzyma maciorę. Czy nie ucieszyłby się serce pana delegata na widok tak rządnej gospodarki? Czy nie zastanowił go ten przykład, dowodzący jak wielkie rezerwy produkcyjne tkwią u małowolnych? Czy nie poczuł się zobowiązany do troskliwej opieki nad takim Gołkowskim, oby nie nie hamowało ich rozkwitu?

Bo pan delegat wiedział, że Gołkowska ma maciorę, ale w chlewie zdanej świni ani prosiaka. Wiedział, że Gołkowska liczy na pomiot w kwietniu. Wiedział, że wobec tego pragnie i prosi o termin późno-jesienny. Ale pan delegat jest biurokrata. Że górnicza rodzina nie to dla niego, że małowolna — nic, i że maciora — też nic.

A maciora, to przecież dowód świadomej i poważnie podjętej hodowli. I tam, gdzie maciora, nie można żądać zakupu warchlaków do tuczenia, szczególnie kiedy ma to miejsce u małowolnych.

A biurokrata puścił cały aparat w ruch: upomnienie, prokurator, obciążenie karną nadwyżką i poderwanie dobrej opinii w gminie.

Taka to jego sztuka — biurokrata. **Wojciech Pawelec**

Nie trzeba nauki i zawodu?

„Przyjacielka” w rubryce „Rozmawiamy o naszej przyszłości” zamieściła dwa podstawowe dla dalszej dyskusji listy.

Jeden — Marysi P. szesnastolatki, która pragnie wyjść za mąż ale „nie może zdecydować się na przerwanie nauki, bo... mama nie pozwoli”.

Drugi — Kalemby z Krakowa, która ocenia Marysję jako „dojrzałą do małżeństwa” a „szkoła i zawód to dobre wyjście dla tych dziewcząt, które są brzydkie lub nie lubią rodzinnego domu”.

Posypały się listy. W większości piszą dziewczęta i chłopcy. I w większości — huźna na p. Kalembę z Krakowa, że „uległa zasadom obyczajowości burżuazyjnej”, że „patrzy oczyma przedwojennego mieszczucha”, że „nie rozumie momentu historycznego, jaki przeżywają wszystkie kobiety w Polsce Ludowej” itd.

Cóż w tej zawierusze oburzenia wydaje się najcenniejsze? A to, że w wystąpieniu matrony krakowskiej dziewczęta i pracujące kobiety dostrzegły przeciwstawienie **małżeństwa — nauce i zawodowi**. Listy odpowiadają na tę „provokację”. Bardzo mocno i bardzo znanie.

— „My kobiety powinniśmy być dumne z tego, że możemy pracować na równi z mężczyznami i wdzięczne za to Polsce Ludowej a Ona nie powinna się na nas zawięzić”. (1)

— „My żyjemy w dobie Planu 6-letniego, kiedy piękna jest dla mężczyzny dziewczyna — murarz, traktorzystka, racjonalizator, przodownica, inżynier i uczony. I tacy też chłopcy nam się podobają”. (2)

— „Jakże Marysia P. ma przerwać naukę, przecież niedługo zdobyłaby już tytuł technika budowlanego. Należałoby do najmłodszych kadr, których nam tak potrzeba. Czy można marnować fundusze, jakie nasze państwo łoży w obrzrymich sumach, aby wykształcić nowych techników i fachowców?”. (3)

— „Kobieta niepracująca czuje się już dziś a będzie jeszcze bardziej, jak by była wyrzucona poza nawias życia społecznego i towarzyskiego. Bo i w życiu towarzyskim oceniamy je z tej strony, czy biorą czynny udział w życiu i budowie wspaniałej przyszłości naszego kraju”. (4)

Wartoby te dyskusje przenieść na wiejski teren, akcentując sprawę nauki (bo pracy kobietom na wsi nie brak) a w nauce możliwości na miejscu — kursy, czytelnictwo, udział w życiu organizacyjnym i społecznym,

Jerzy Kawka

JANINA GLANK

W DRODZE DO CZYTELNIKA

BIBLIOTEKA Powiatowa w Sławnie, woj. Koszalin, posiada 1252 tomów, gminne, a jest ich u nas 9 — 16.551. Razem księgozbiór obejmuje 17.803 tomów. Nie możemy się jednak pochwalić pożądaną liczbą czytelników. Dość będzie podać, że w 1949 r. korzystało z biblioteki gminnej 659 czytelników, w 1950 r. — 1.208, w 1951 roku 3.037 czytelników. Miłośników książki wprawdzie stale przybywa, ale

twarcie przyznać, że na tym odcinku nie jest dobrze. Notujemy znaczący wzrost wykorzystania książek popularno — naukowych. W 1949 r. wykorzystano ich zaledwie 3 proc., obecnie wzrosł on do 11,5 proc. W związku z urodzinami Prezydenta Bieruta podjęliśmy zobowiązania, w których między innymi zobowiązaliśmy się podnieść wykorzystanie księgozbioru popularno — naukowego jeszcze o 10 proc.



Foto CAF

jak na powiat, jest to stanowczo wciąż jeszcze mało. Czytelnicy rekrutują się w największej liczbie z uczącej się młodzieży, a potem dopiero z członków spółdzielni produkcyjnych, samodzielnych rolników, w małej liczbie z inteligencji pracującej i robotników. W 1951 roku na 3.037 czytelników notujemy 1.518 młodzieży uczącej się i dzieci. I ta statystyka nie jest imponująca. Czytelnika robotniczego nie udało nam się na naszym terenie zdobyć, z chłopami jest niestety. Jak niemal wszędzie na wsi przoduje młodzież. Mimo to sytuacja nie jest zła, mamy bowiem niewielkie być może, ale realne osiągnięcia jakościowe.

W ostatnim roku przeprowadziliśmy w naszym powiecie dokładną selekcję księgozbiorów. Obecnie nie ma w bibliotekach książek bezwartościowych i reakcyjnych.

Selekcja ta początkowo zniechęcała czytelników. Uciekali nam z biblioteki twierdząc, że „nie ma co czytać”, z czasem jednak, dzięki umiejętnemu podejściu bibliotekarzy, wszyscy już chętnie czytają literaturę najnowszą co początkowo było najtrudniej. Bardzo pomagały w tym różne konkursy czytelnice organizowane przez ZSCh lub Bibliotekę Wojewódzką. Obecnie na 9 bibliotek gminnych i 71 punktów bibliotecznych, mamy tylko jeden punkt, gdzie czytelnicy proszą o książki kryminalne, awanturnicze. Nie dostają ich, ale jakże ciężka jest praca bibliotekarza w tej sytuacji!

My, bibliotekarze, bardzo często stajemy w terenie wobec problemu — zorganizowania pierwszego kroku niewyrobionego czytelnika. Szukamy uporczywie literatury, która by uwzględniła z jednej strony stare tradycje czytelnice, a z drugiej — równocześnie przez swój realizm — stanowiła pomost do naszej nowej, socjalistycznej książki. Pomocne są nam w tym książki Turgieniewa, Orzeszkowej, które są chętnie czytane. W ostatnich miesiącach ten „oporny punkt” alarmował do nas o powieści Tołstoja i W Hugo, które, jak wskazują sprawozdania, są wykorzystywane. Wydaje się, że stąd już niedaleko do klasyków socjalistycznej literatury.

Najchętniej wykorzystana jest literatura piękna, daje się jednak zauważyć uprzedzenie do tłumaczeń. Sprawy te bibliotekarze rozwiązali przez dostarczanie książek do domu czytelnikom. Wtedy czytelnik, mając mały wybór, brał książkę przyniesioną przez księgonosza, czytał ją, a przy zmianie sam prosił o tłumaczenie dodając — „tylko żeby było takie ładne jak poprzednie”. W jednej z naszych bibliotek gminnych, w Sławsku, zostało w ten sposób zaprogowana książka „Milioner” — Mustafina.

Książki rolnicze i gospodarcze są czytane również chętnie i uważnie. Zawsze czytają je gospodnie, które też często proszą o książki przystępne z dziedziny leśnictwa i wychowania dzieci. Księgozbiór społeczno — polityczny wykorzystuje przeważnie młodzież, składająca egzaminy, nauczycielstwo oraz aktywni gromadki. Trzeba jednak o-

pytać o zdanie bibliotekarza i bez porozumienia z Prez. Pow. Rady Narodowej czy Biblioteką Powiatową, umieścić w lokalu biblioteki Biuro Skupu i Kontraktacji. Mimo natychmiastowej interwencji, biuro to do dziś tam się znajduje. Bibliotekarz nie może wcale pracować, o prócz wypożyczania nie prowadzi żadnej pracy masowej z czytelnikiem. Mało tego — przed kilku dniami w tej samej gminie bez żadnego porozumienia z władzami, przewodniczący GRN zabrał wysokołonego bibliotekarza do pracy biurowej w Radzie Bibliotecznej natomiast „przydziel” zupełnie surową, nieszkoloną siłę, a wszem wobec obwieścić, że „w bibliotece nie ma co robić, a bibliotekarz po kursach nie będzie marnował się w bibliotece”. Teraz, kiedy ruch czytelnicy na wsi ujęty zostanie w nowe ramy organizacyjne, k. dy rewolucja kulturalna stała się przedmiotem szczególnej troski Partii i Rządu, sytuacja z pewnością się poprawi — a nasz kwalifikowany kolega nie będzie musiał gryźć pióra w gminnej kancelarii.

Wreszcie parę słów o naszych najlepszych bibliotekach i punktach bibliotecznych. Jedną z pierwszych jest biblioteka gminna w Dobiesławiu, prowadzona przez ob. Kolesińską Wierę. Zdobyła ona 304 stałych czytelników. Bibliotekarka ta organizuje wieczory dyskusyjne — wieczory żywego słowa. Następne dwie to Żydów i Sławno, które posiadają po 250 czytelników każda. Należy też wspomnieć o bibliotece gminnej w Zukowie, gdzie urządziła się często wieczory głośnego czytania. Biblioteki te są również punktualne w sprawozdaniach. Z punktów bibliotecznych należy wyróżnić punkt w Boleszewie gm. Sławno posiadający 105 czytelników. Nie podaję tych faktów aby się chwalić. W sumie przecież nie ogarnęliśmy czytelnictwem nawet 10 proc. ludności powiatu. Ale sporadyczne jeszcze osiągnięcia wskazują na powolny lecz stały proces oraz warunki metody wzrostu czytelnictwa.

Janina Glank



Foto CAF

JANINA CYBALA

CHCEMY ODPOWIADĄC ZA PRACĘ

SERDECZNIE dziękuję za zaproszenie na łamy Waszego piśma. Bardzo mnie cieszy, że mogę podzielić się moimi osiągnięciami i trudnościami w pracy nad upowszechnieniem czytelnictwa.

Najpierw, że tak powiem dane — sakramentalne. Nasza gminna biblioteka w Redle (pow. Białogard) liczy ogółem 2281 tomów. Mamy 394 czytelników, co oczywiście nie stanowi rewelacji zwłaszcza, że 200 czytających to młodzież a tylko 100 — średniorolni chłopcy. Pozostali w liczbie 94 to inteligencja pracująca. Muszę przytym dodać, że czytelnictwo u nas prawie nie rośnie.

Chciałabym w tym liście wyjaśnić choć w części dlaczego tak się dzieje. Czytelnik nie ponosi za ten stan absolutnie żadnej winy. U nas jest tak, że ludzie dobijają się o książkę. Więc gdzie przyczyna zła?

Książki przysyłają nam ogólnie, to znaczy nikt się nie pyta nas, co ludzie już dawno czytali, ba — nawet z zapamiętaniem w powiecie, co nam poprzednim razem przysłali.

No i skutek jest taki, że mam pełne półki „Starej Baśni”, „Cichego Donu” czy poezji Konopnickiej. Czytelnik nasz powiada sobie — do pięciu razy sztuka i nie można go w żaden sposób namówić, żeby szósty raz to samo przeczytał. W tych warunkach zachęcanie czytelnika do książki jest trudne, gdy nie można mu podsuwać nowych bardziej skomplikowanych problemów opisanych w książkach.

Szkoda jest tym większa, bo rozpoczęliśmy z powodzeniem zbiorowe formy czytelnictwa. Były już u nas udane wieczory dobrego czytania, udawały się dyskusje nad książkami. Przy bogatym wachlarzu książek zapomnielibyśmy dawno o pojedynczym, chodzącym — jak to się mówi — swoimi drogami czytelniku.

Trzeba, żeby się z nami bibliotekarzami więcej liczyli, bo my reprezentujemy czytelników. Przy naszej pomocy i znajomości terenu można by dostawać zestaw książek najzupełniej zaspokajający potrzeby czytelników. Po ogólnokrajowym Zjeździe Bibliotekarzy, tak ma teraz być, oby jak najszybciej.

Druga przyczyna leży w sprawach na pozór błażych, a jednak bardzo istotnych, w naszym terenie. Mam z punktami bibliotecznymi wiele kłopotu, z tego powodu, że muszę jak święci pańscy na piechotę je wzytować z braku jakiegokolwiek lokomocji. Wypada nieraz wędrować 18 km. Stąd też kontrola nad punktami i instruktarz kuleje.

A dlaczego przypominamy trochę ewangelicznych apostołów? Winniśmy sobie sami po części. Nie bijemy się o należyte uznanie w GRN. Ale z drugiej strony i GRN nie troszczy się o czytelnictwo. Daje głowę zato, że przewodniczący Gminnej Rady Narodowej w Polczynie — Zdroju w ogóle nie wie jak wygląda z bliska biblioteka. A znowu bibliotekarz to nie jest dla niego jakaś wyraźnie określona i ważna społecznie figura. To człowiek do zapychania dziur, zajmowania krzesła w przydiach różnych narad, coś do pokazywania a nie do walki o wyższą świadomość ideologiczną mas chłopskich.

I powieź Redakcja — czy to jest słuszne? Każdy z nas powinien pracować jak najszerzej społecznie, bo to jest najlepsza droga do poznania potrzeb kulturalnych chłopca, ale jak nauczyć odpowiada w pierwszym rzędzie za szkołę a przewodniczący za pracę GRN, tak my, bibliotekarze, za powierzone nam do upowszechnienia książki.

Janina Cybala

Zawiadamiamy wszystkich prenumeratorów naszego piśma, że począwszy od m-cą stycznia br. urzędy pocztowe oraz listonosze więcej i miejscy przyjmują wpłaty na prenumeratę w terminie do dnia 15-go każdego miesiąca na miesiąc następny i okresy

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL
Redaguje Kooillet
Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12, tel. 752-50. Adres redakcji: Warszawa, ul. Starokijewska nr 7
Prenumerata i korpolarz P P K „Ruch”. Oddział w Warszawie, ulica Srebrna 12, tel. 884-20 do 25
Tel. Red. Nacz. 727-85 Tel. Redakcji 751-80 do wewnętrznego 91, 83
REDAKCJA NIE ZAMÓWIUJCH REKOPISÓW NIE ZWRACA
Wpłaty na prenumeratę można dokonywać Piac 3 Kizyzy 16, Chmielna 25.
Warunki prenumerat:
miesięcznie 3,- zł. kwartalnie 8,-; półrocznie 18,-; rocznie 36,- zł.
Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa 1-6342.110 z zaznaczeniem „za tyg. „Wieś”
RSW „PRASA”, Warszawa, Marszałkowska 3/5 3-B-17242